

WSPOMNIENIE CZAR

O NAUCZYCIELACH

KAROL HERMA

Karol Herma Nasz Dyrektor... Twardo trzymający szkołę w garści - choć własnych synów (zwłaszcza Lecha) nie bardzo. Wyraźnie próbował nawiązywać do metod i tradycji liceów przedwojennych, co bardzo się podobało wielu rodzicom (z pokolenia moich). Wielki zwolennik sportu, wyraźnie akcentujący zasługi uczniów w tej branży. W innych jakby trochę mniej. Trzymał w szkole rygor, w czym doskonale współdziałał z polonistą, wicedyrektorem, Ryszardem (nomen omen) Gromcem - wychowawcą klasy wyjątkowych rozrabiaków. W każdym razie obydwu panom woleliśmy schodzić z drogi. Pamiętam jak dyrektor Herma, bodajże w 1965 roku, po liście biskupów polskich do biskupów niemieckich próbował na lekcji propedeutyki filozofii rozpocząć dyskusję potępiającą naszych hierarchów. Gdy padło z sali pytanie: jak można oceniać coś, czego jeszcze nie czytaliśmy, w pokoju nauczycielskim określono nas jako klasę klerykalną. Potem dostaliśmy oremus od naszej wychowawczynie, która zresztą z czasem zmieniła swój kierunek światopoglądowy. W sumie K. Herma jawi się jako dyrektor zdecydowany, nawet z pewną charyzmą. Troszkę archaiczny, jeśli chodzi o stosowane metod, ale taki wtedy bardzo był szkole potrzebny.



Matura 1965. Komisja egzaminacyjna w składzie (od lewej): prof. H. Terebun, dyr. K. Herma, prof. A. Makowska-Cieleń.



Rok 1964. Moment wręczenia Złotej Odznaki Młodzieżowej Polskiego Związku Filatelistów, (od lewej): dyr. Karol Herma, dr M. Serafinuk, uczeń klasy XC – Marek Rezler.

Nie wiem dlaczego, ale zawsze Dyrektora obchodziłem z daleka. To było coś nieokreślonego, ale... nie miałem do niego zaufania. Niby się uśmiechał, niby rzeczowy był i po nauczycielsku surowy, ale chyba nie umiał zdobywać serc uczniów. W każdym razie to był człowiek, na którego zawsze należało uważać. Szczerość, otwarcie się - w żadnym wypadku. I to wcale nie był naturalny dystans wynikający ze stosunku: dyrektor - nauczyciel - uczeń. O wiele cieplejsza była nasza wychowawczyni, p. Helena Januszkiewicz - mimo że „ruska”, „caryca” (ta druga ksywa pojawiła się już po 1966 roku, po mojej maturze), że nas ochrzaniała i czasami dłuuuugo i nieco zrzędliwie ustawiała do pionu. Nad p. Hermą zawsze wisiła aureola groźnego szefa, człowieka trudnego. To nie był typ poczciwego, a jednak powszechnie lubianego p. Bubienia. Naturalnie, to było tylko moje odczucie - inni (zwłaszcza sportowcy, bo do nich miał wyraźną słabość) mogą powiedzieć coś innego.

Marek Rezler
(Matura 1966)

Karol Herma nie był moim idolem. Ale, byłem świadkiem, jak poskromił młodzieżowy samorząd w sprawie Leszka Tężyckiego (ulotki). Po wizycie „smutnych panów” Herma zwołał, pożał się Boże, „samorząd”, po czym rozbił w puch pomysł upieprzenia Lecha na dalszej drodze życia (np. relegowania ze szkoły z wilczym biletem). Kazał mi sfałszować protokół w taki sposób, żeby wyszło na to, że młodzież ocenia ten incydent jako głupawy młodzieńczy wybryk

bez znaczenia. Tak się chyba nie zachowywali stalinowcy. Może był kunktatorem - bo inaczej jakże mógłby dyktować od powojnia. Może uprzedzoną paskudą (na pewno!) w indywidualnych sprawach, ale chcę mu oddać sprawiedliwość. Dziś, po tylu latach, czas wszystko zatarł, zostały tylko bardzo osobiste wspomnienia. Przyznajcie, że chociaż każdy miał z Herma jakieś „pierepały” odczuwane jako niesprawiedliwość, to właśnie za Jego sprawą szkoła miała niepowtarzalny klimat, a my, chcemy czy nie, jesteśmy jego wychowankami.

Ewa Wozowska (Doczyńska)

(Matura 1967)



Dyrektor Karol Herma otwiera spartakiadę młodzieży.

FRANCISZEK KLOREK

Tak się złożyło, że nie za bardzo przyglądałem się nauczycielom. Owszem, mieli swoje zwyczaje - podobnie jak my, ale byłem jak najdalej od oceniania. Byłem ponad to - byle ogólniak przeżyć i dorwać się do wymarzonego studiów na ukochanym kierunku. Liceum było dla mnie uciążliwą kwarantanną. Chyba, że coś bezpośrednio mnie dotyczyło i było szczególnie bolesne. Oczywiście to coś, to były matematyka i chemia. Prof. Klorek chyba szybko mnie wyczuł i nie nękał zanadto. Ale doskonale pamiętam jego charakterystyczny grymas na twarzy, gdy „otwierał ogień z wzorów”, a trafiona ofiara musiała stać dopóty, dopóki nie podała prawidłowej odpowiedzi. Trzecie pudło oznaczało „łaczka vel łabędzia” do dziennika. Pamiętam też jego stwierdzenie, gdy delikwent wyjaśniał kreślenie figury: „...z punktu A zataczamy koło..”. Na to riposta Profesora: „pijak się zatacza, okrąg się zakreśla”. Dodam, że metodę odpytywania prof. Klorka skopiowałem, gdy sam uczyłem historii w szkole. Ale ja kosiłem ze znajomości dat i nazwisk.

Marek Rezler

(Matura 1966)



*Profesor Franciszek Klorek
– nauczyciel matematyki*

Prof. Klorek. Mały wzrostem - wielki głową. Legenda licealnej matematyki. Mnie nie uczył, ale gdy w zastępstwie innego matematyka (też na literę K) „uczył” nas matematyki, to lekcja wyglądała tak, jak głosiła legenda. Kto nie znał poprawnej odpowiedzi, zostawał w ławce w pozycji stojącej. Po paru minutach klasa wyglądała jak stado surykatek, wypatrujących wroga. Prawie wszyscy stali, ale profesor nie bił, nie rzucał, tylko jakiś dziwny grymas uśmiechu-nie uśmiechu gościł na jego twarzy. Podobno był dobry z matematyki, ale mówię to na odpowiedzialność innych, bo ja kompetentny za bardzo w tym przedmiocie nie byłem. Potem poznała się na Nim zielonogórska WSI. Dwa razy miałem okazję zobaczyć Go w swojej profesji, na szkolnych obozach wędrownych w Pobierowie i Podgórzynie/Karpaczu. Na tych obozach zajmował się kwatermistrzostwem, a była to chyba najbardziej dla Niego odpowiednia funkcja, bo rachunki zawsze grały, jedzenia nie brakowało (bo sam niewielkiej postury, niewiele potrzebował), uczniów z wrodzonej pewnie skromności nie nękał nadmiernie. Jak miał wolne po zakupach, to przesiadywał przy brydżu, co pewnie nie było dla niego kłopotliwe, z racji konieczności logicznego myślenia, czy robienia bilansów.

Andrzej Żądło
(Matura 1967)

HELENA JANUSZKIEWICZ

Pani prof. Januszkiewicz, mimo upływu lat, wciąż niektórych z nas pamięta. Wspominam Ją bardzo sympatycznie. Nazywaliśmy Ją „ruska” (z racji przedmiotu, którego uczyła) lub po prostu żartobliwie „nasza pani”. „Caryca” to wymysł kolejnych pokoleń. Jak przez mgłę pamiętam, że w 1963 albo 1964 była w odmiennym stanie i przez jakiś czas „wyłączona ze szkolnej gry”. Była typem trochę zrzędlivej mamy. Ale, gdy się wkurzyła, potrafiła ochrzaniać nas przez 3/4 lekcji wychowawczej i wtedy było ostro, zdarzało się, że rugała nas „pa russki”.

Gdy swoim dokuczaniem przyczyniliśmy się do zgryzot pocziwego historyka, p. Wacława Szczesniewskiego (potem zresztą, biedak zmarł), nawet wyspnęło się Jej „gitlerowcy” - co nas ogromnie poruszyło. Ale „cziorły pałasatyje” były na porządku dziennym. Miała świetne metody nauczania języka - i za to jestem Jej wdzięczny. W VIII klasie na pierwszy okres miałem trójkę z... historii. Zdruzgotaną tym moją matkę pocieszała na wywiadówce: „niech się pani nie martwi, on to poprawi”. Sytuacja rzeczywiście bardzo szybko się zmieniła. Dla nas wszystkich zaskoczeniem była wiadomość, że p. Januszkiewicz stała się - mówiąc łagodnie - ogromnie religijna.



*Nauczycielka j. rosyjskiego,
prof. Helena Januszkiewicz*

Caryca była moją wychowawczynią przez cztery lata. Podstawowa wada: zrzedliwa gadatliwość. Jej kazania na lekcjach wychowawczych były dłuuuugie i namiętne. Ochrzaniała nas bez pardonu i czasami z za katedry „leciało ostro”. Podstawowa zaleta: dawała w kość na lekcjach rosyjskiego - ale nauczyła! Dzięki jej marudzeniu, stukaniu ołówka w pulpit w momencie złego akcentu, jej „cziorom pałasatym”, nie miałem najmniejszych trudności na lekturze w czasie studiów, a na Litwie „pa russki” porozumiewałem się prawie tak jak po polsku. To Jej zasługa i chwała! To ważne, bo nie jestem pewien (przynajmniej tak się słyszało), ale chyba była rodowitą Rosjanką, która wyszła za męża za Polaka. Zatem doskonale uczyła nas rosyjskiego potcznego, nie tylko literackiego, z książki. Dzięki niej z upodobaniem czytam Puszkina, albo Czechowa w oryginale. To zupełnie inny odbiór niż po polsku! Podobno dokonała radykalnej wolty światopoglądowej - no, ale to Jej sprawa. Serdeczne pozdrowienia, Pani Profesor!

Marek Rezler
(Matura 1966)

Caryca, caryca, ale na studiach zostałam zwolniona z obowiązku uczestniczenia w lekturze z rosyjskiego już na drugich zajęciach - pani stwierdziła, że marnowałabym czas. Przedtem zapytała, kto mnie uczył w ogólniaku i nazwisko pani Januszkiewicz z Gorzowa zrobiło wrażenie, wyraźnie miała tam świetną markę.

Ewa Wozowska (Doczyńska)
(Matura 1967)

ANTONI MOŹDŻER

Nauczyciel „starej daty”, w chwilach nostalgii usiłował nam „pokazać” antyczny język i alfabet grecki, opowiadał o dawnych gimnazjach... Pamiętam Go, jak wicherząc swoje siwe włosy, zrywał okulary z nosa i szukając w dzienniku nazwiska delikwenta, zastygał w bezruchu. A potem, gdy uczeń na środku płynnie recytował: „Präpositionen, die mit dem Akkusativ oder dem Dativ regieren”, wpatrywał się w długie nogi dziewcząt, z premedytacją usadowionych przy stołach w pierwszym rzędzie (mini było wtedy w modzie). Czasem, gdy wyrwany do odpowiedzi człek powiedział już wszystko na zadane pytanie i powtórzył to kilkakrotnie - zapadała cisza. I trwała ona minut kilka, po czym „Antos” ocknąwszy się, rzucił gniewnie: „No mów cokolwiek, baranie!” Jego lekcje niemieckiego miały specyficzną atmosferę - w zasadzie nikomu tego języka uczyć się nie chciało, ale z kolei Panu Profesorowi przykrości sprawiać nie wypadało, choćby ze względu na Jego wiek... Uczyliśmy się więc, jedni lepiej, inni gorzej; „wspomagaliśmy” Go, wpisując sobie sami oceny do dziennika. Wszystko po to, by Pan Profesor nie musiał się denerwować. Dziś, posługując się niemieckim na codzień, czuję się zobowiązany podziękować Panu Profesorowi za ten ogromny wysiłek nauczania. DZIĘKUJĘ!

Gustaw Sander
(Matura 1972)



Wycieczka do Krakowa w 1957 roku. Opiekunowie : Antoni Moździerz i Ryszard Gromiec.

ANNA MAKOWSKA-CIELEŃ

Kochana Pani profesor Anna Makowska. Za mało miejsca, słów, czasu, aby oddać choć w małym stopniu Jej niezwykłość. Pani profesor tyle mi już wybaczyła, gdy byłem uczniem, że teraz boję się nadużywać jej cierpliwości (oczywiście chodzi o kwestię oceny ortograficzno-stylistycznej). Kiedy w 8. klasie załatwiłem sobie z kolegą Krzyśkiem L. fuchę polegającą na codziennym przynoszeniu z internatu do sklepiku szkolnego gara wrzątku (i fuchy tej nie odstąpiliśmy nikomu aż do matury), bo dzięki temu byliśmy obligatoryjnie zwalniani z części języka polskiego. Pani profesor nawet nie zasugerowała zmiany nosiwodów, choćby z konieczności uaktualniania przez nich notatek w zeszytach. Gdyby nie Pani Profesor, pewnie bym nigdy do teatru nie trafił, żadnej



Rok szkolny 1969/1970. Pani profesor Makowska wraz z kabaretem śpiewa „Czastuszki”.

więcej książki po skończeniu liceum nie przeczytał, żyłbym sobie jak ten Rysiek z „Klanu” bez emocji. I dobrych i złych. Wszelkie działania artystyczne, kulturalne, pozalekcyjne kojarzą mi się z Panią Profesor. Ja sobie szkoły w tamtym okresie jakoś bez tej Pani nie wyobrażam. A to, że chyba byłem przez Nią lubiany (i vice versa), to już tylko dodatkowa okoliczność, która sprawia, że miło wspominam szkołę. Co niniejszym czynię, a Panią Profesor pozdrawiam.

Andrzej Żądło
(Matura 1967)

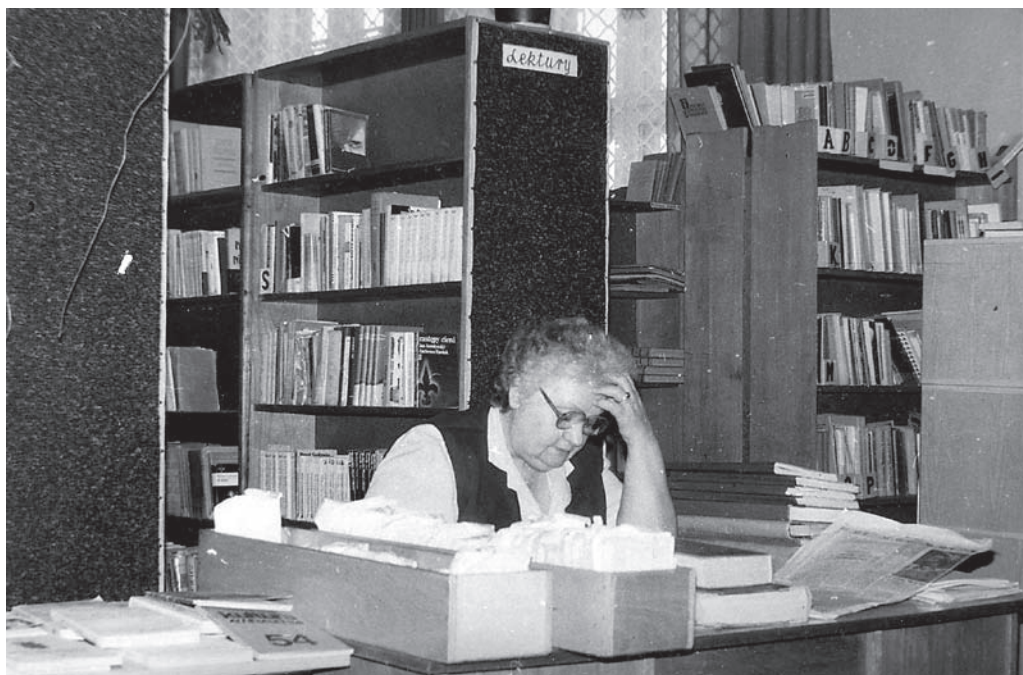
HALINA KOŁOSOWSKA

To, co pozostało w mojej pamięci

Halina
Ciotka, Cioteczka
Kołosia

Różne imiona, a chodzi o tę samą osobę – Panią Profesor Halinę Kołosowską. Zawsze spokojna, ciepła, wyważona w ocenach i komentarzach. Z serdecznym uśmiechem na ustach. Nawet jeśli musiała kogoś zrugać, robiła to oględnie, niepersonalnie, ale aż w pięty wchodziło. Bardzo rzadko podnosiła głos. Nie było takiej potrzeby. Gdy sytuacja przekraczała granice, wypowiadała stanowczo: „dziewczynki” z „udarzeniem” na pierwszą sylabę. I w klasie zalegała cisza.

Lubiła zadawać takie trochę dziwne pytania. Może nie one same w sobie były dziwne, ale ich konfiguracja: Jak się dzisiaj czujesz? Piekął już kiedyś sernik z brzoskwiniami? Lubisz Achmatową? Chcesz przepis na śledzia pod pierzynką?



Prof. Halina Kołosowska podczas pracy w bibliotece szkolnej. I w tym była bardzo dobra...

Miała wspaniałe wycucie chwili, nastroju. Błyskawicznie – jako doskonały psycholog – znajdowała sposób na rozładowanie napięcia, zmianę tematu, sprawienie komuś przyjemności.

Kiedy weszła „w wiek dojrzały”, ludzie często do niej mówili: Halinka, Ty to jesteś święta kobieta. Ona szybko z humorem zwykła odpowiadać: A gdzie tam święta. Jak byłam młoda, też paliłam papierosy.

Nie wdawała się w zbędne dyskusje. Myślę, że wolała słuchać niż mówić. Jej dom przy Żeromskiego 11 był zawsze, i chyba dla wszystkich, otwarty. Dzięki temu można było zaprzyjaźnić się z całą rodziną.

I jeździła z nami w Bieszczady... Co roku, na cały miesiąc. Operacja Bieszczady 40! To było dopiero przeżycie. Umiała nami tak postymulować, że tam, na miejscu zaprzyjaźniliśmy się z całym światem. Bo w bieszczadzkiej głuszy i dziczy zupełnie inaczej płynął czas, funkcjonowaliśmy też w zupełnie innej przestrzeni. A czas był i na pracę, i na odpoczynek, na wędrowkę po połoninach i karczowanie olchy, na pielenie leśnych szkółek i zabawę z dziećmi w „zielonym przedszkolu”. Kiedy umordowani wracaliśmy do stancy, „Ciotka” już na nas czekała – jeśli w tej szkółce czy przy sianokosach nie była akurat razem z nami.

Bieszczady i HSPS. Jak w tym wszystkim odnajdywała się Pani Profesor Kołosowska, również opiekunka szkolnego koła TPPR, bowiem Jej życiorys w latach 80- tych wyraźnie dookreślił światopogląd.

Jak? Zwyczajnie. Po ludzku. Bo Pani Profesor Halina Kołosowska tak po prostu zawsze była dobrym człowiekiem.

Alina Nowak (Głucha)
dyrektor II LO
(Matura 1977)

HALINA KOŁOSOWSKA I NIPUANY

W 1981 roku w II Liceum powstały dwie drużyny harcerskie: męska oraz żeńska - 6 Górzowska Drużyna Harcererek „Nipwany” im. Teresy Bogusławskiej. Obie działały w ramach ZHP, lecz niemal natychmiast okazało się, że ich ideały i działanie, nawiązujące do przedwojennego harcerstwa z jego Rotą Przyrzeczenia i Prawem Harcerskim, odbiegają od przyjętych wówczas w ZHP standardów. Mimo że powstanie „Solidarności” spowodowało także spore zmiany i pewną odwilż w istniejącym ZHP, szybko okazało się, że władze nie zamierzają tolerować odrębności i działalności nowych drużyn. Męska drużyna harcerzy wyszła zatem spod skrzydeł szkoły i kontynuowała działalność jako drużyna środowiskowa (skupiająca młodzież także spoza naszego liceum).

Tymczasem „Nipwany” przez następne lata działały w szkole wspierane przez śp. Panią Profesor Halinę Kołosowską, która, będąc dla nas wielkim autorytetem moralnym, niejednokrotnie pomagała przetrwać naciski ze strony władz i wytrwać na wybranej drodze. Drużyna nie przestała działać także w stanie wojennym, choć oficjalnie wszystkie organizacje zostały wówczas rozwiązane. Wtedy właśnie zrozumieliśmy, czym jest służba Bogu i Ojczyźnie. Po odwołaniu stanu wojennego zaostrzyły się wobec nas szykany ze strony władz ZHP. Władze szkoły stały się także mniej pobłażliwe dla niepokornych nastolatków, ale udało nam się przetrwać. Na pewno zawdzięczamy to także naszym drużynowym - wybieranym zawsze spośród nas, często naszym rówieśnikom, a jednak osobom nad wiek dojrzałym i odpowiedzialnym. To także im: Uli Matysik, Karolinie Markowskiej, Renacie Wieczorek i tym, które nastąpiły później, zawdzięczamy jasno określone wartości



„Nipuany” - obóz wędrowny nad jeziorem Wędromerz.

nadrzędne, takie jak: uczciwość, przyjaźń, sumienność, odpowiedzialność, których wymagały od nas i od siebie. W tych latach liczebność harcerzek wahała się w granicach 20-30 osób - w ramach trzech zastępów: Płomieni, Xao i Wiklinich. Mimo bardzo niewielkiego składu „Nipuany” działały prężnie: bawiły się i pracowały (np. przy sadzeniu wikliny lub produkcji...kapsli), a ukoronowaniem każdego roku były zimowiska i obozy letnie, organizowane samodzielnie i budowane od zera przez kilkanaście nastoletnich dziewczyn. Przyjaźnie powstałe przy budowaniu pieca, pomostów, łóżek i...latryn przetrwały do dziś, a tamte dziewczyny broniące swych ideałów i zmagające się z wieloma trudnymi wyborami to dziś wykształcone, silne i prawe kobiety.

Dopiero wiele lat później - w 1994 roku drużyna wyszła ze struktur szkoły i stała się drużyną środowiskową, działającą od 1989 roku w szeregach Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej.

Anna Kaniewska
nauczycielka j. włoskiego w II LO
 (Matura 1986)

ANTONI MOŹDŻER, STANISŁAW KADEŁA, BOGUSŁAWA JANECKA

Doskonale pamiętam naszych wychowawców: prof. Antoniego Możdżera, prof. Stanisława Kadelę i prof. Bogusławę Janecką oraz wszystkich profesorów uczących nas różnych przedmiotów.

Prof. Możdżer przepracował w „19” i II LO wiele lat, ucząc logiki, języka łacińskiego i niemieckiego. Byłam uczennicą klasy IV B, której profesor nie uczył, ale spotykałam Go na przezwach i do dziś pamiętam Jego głos nawołujący nas do wyjścia na dziedziniec szkoły.

Zmarł 3 marca 1977r., ale pamięć o profesorze trwa wśród Jego wychowanków, a nazwisko rozślawia wnuk profesora, muzyk Leszek Możdżer.

Prof. Bogusława Janecka wychowawca kl. XI „Matura 64”.

Pani Profesor rozpoczęła pracę w „19” po skończonych studiach jako nauczyciel biologii. Dyrekcja szkoły stawiała przed gronem nauczycielskim i uczniami wysokie wymagania dydaktyczno – wychowawcze. Panowała dyscyplina, mundurki, tarcze, czapki, codzienne apele. Stąd wynikało wielkie zaangażowanie prof. Janeckiej w przygotowanie uczniów do matury, urządzaniu gabinetu, uprawie działki szkolnej, prowadzeniu koła przedmiotowego, PCK i LOP. Z czasów szkolnych pamiętam gabinet biologiczny pełen kwiatów, plansz; żyły tam również zwierzęta, takie jak: chomiki, patyczaki, a nawet zaskroniec. Lekcje były urozmaiczone, oglądaliśmy filmy przyrodnicze i życie pod mikroskopem.

W moich wspomnieniach prof. B. Janecka to wspaniały pedagog i ciepły człowiek.

Zmarła 28 listopada 1998r.

Prof. Stanisław Kadela wychowawca klasy IV B i nauczyciel chemii w liceum. Posiadał wiedzę chemiczną, którą pragnął przekazać swoim uczniom, ale cechy charakteru utrudniały relacje nauczyciel – uczeń. Dlatego wykorzystywaliśmy pozaszkolne pasje profesora m. in. łowieckie, wędkarskie, sprowadzając tematy lekcji na manowce, czyli na dyskusję o płótkach. Gdy zbliżał się koniec semestru, profesor przeprowadzał sprawdziany wiedzy, obserwując piszących uczniów przez dziurkę w „Gazecie Lubuskiej”.

Był legendą mojego pokolenia, uczestniczył w spotkaniu „Matura 64” i ze wzruszeniem odczytywał nasze imiona i nazwiska z dziennika klasy IV B.

Zmarł 6 lutego 2000r.



Rok szkolny 1969/70. Profesor Moździerz podczas zabawy studniówkowej.



Lekcja chemii u profesora Kadeli.

Szkołę, której 60 – lecie obchodzimy w tym roku, nazywam moją szkołą. Ukończyłam ją, pracowałam w niej, ukończyły ją moje siostry i syn.

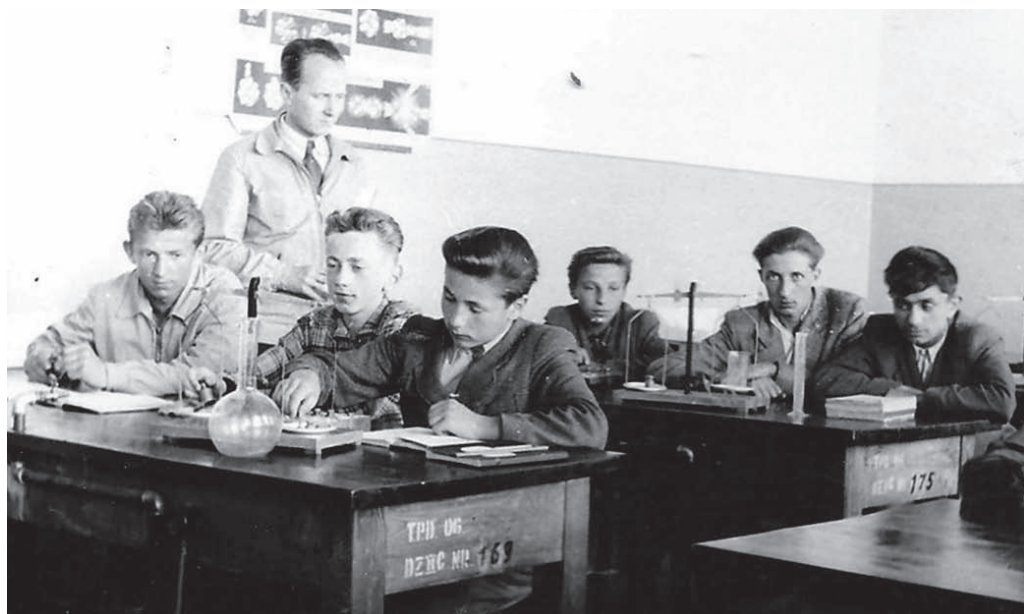
Niektórzy moi uczniowie byli kolegami „po fachu”.

Maria Piotrowska (Korsak)
nauczycielka historii
 (Matura 1964)

BONIFACY SUCHECKI

Minęło wiele lat i mimo że pisząca o nim już od dawna jest babcią, nadal wspomina Pana od fizyki i wychowawcę jako jedną z najważniejszych postaci swojej wczesnej młodości. Nasz wychowawca był nauczycielem z wyboru i z zamiłowania. Uczył myśleć i żyć. Nigdy nie zapomniałam wielu cennych wskazówek, które nam przekazał. Nie pytał, czy jest nam dobrze, ale czy wybraliśmy dobry cel, odpowiednią drogę. Często wspierał w trudnościach, chociaż nie mógł ich usuwać. Dużo o nas wiedział, starał się więc traktować nas indywidualnie – chociaż w tych wieloosobowych klasach nie było to zadaniem łatwym.

Pamiętam jego ciepły głos, który uspokajał i wprowadzał dobrą atmosferę na lekcji, chociaż zgłębianie tajemnic fizyki nie było rzeczą ani prostą, ani tym bardziej dla wszystkich pasjonującą. Ale Pan profesor jako człowiek mądry, posiadający wiedzę, potrafił zainteresować uczniów wykładanym przedmiotem. Wprowadzał nas w całkiem nowy świat, pełen niespodziewanych odkryć, mających ogromny wpływ na rozwój ucznia.



Lekcja fizyki u profesora Suheckiego.

Spotkałam go po wielu latach na ścieżce zawodowej. Ja – początkujący nauczyciel, on – wizytator. To było świetne spotkanie, bez stresu, pełne życzliwości – dobrych rad oraz słów wsparcia i otuchy. Wtedy znowu rozumiałam, że przeciętny nauczyciel mówi, dobry wyjaśnia, znakomity daje przykład, a ten wielki inspiruje.

Mojego wychowawcę zapamiętam przede wszystkim jako ciepłego, życzliwego człowieka. Pan od fizyki to nie tylko zwykły nauczyciel – to mistrz. To autorytet niezapomniany nawet po latach przez uczniów. Wspomnienie o nim wzrusza, a szacunek, który wzbudzał za życia nie zmniejszył się ani odrobinę po jego śmierci. To nauczyciel idealny.

Barbara Koźmińska (Migdalczyk)
(Matura 1962)

WACŁAW SZCZĘŚNIEWSKI, FRANCISZEK KUĆKO

Historyk, prof. Wacław Szczęśniewski, to był tak poczciwy człowiek, że nawet trudno cokolwiek o nim powiedzieć, poza tym, że to na jego lekcjach znudzona młodzież potrafiła opuszczać klasę przez okno i wracać przed zakończeniem lekcji. No i zmarł za naszej szkolnej kadencji, a mowę pogrzebową wygłaszał prof. Moździerz. A była to mowa w starym dobrym stylu. „Powaliła na kolana” pół szkoły.

Nie wiem, dlaczego nigdzie nie spotkałem wzmianki o Panu Kućce, który próbował uczyć nas języka angielskiego. Legenda wyprzedziła Jego pojawienie się w naszej szkole, bo był bratem tego Kućki, legendy gorzowskiej fotografii, kuriera wojennego na Hawajach. Miał

ciekawą metodę wymowy trudniejszych wyrazów, polegającą na mówieniu... z papierosem w ustach. Mówiąc w ten sposób, szybciej chwytała mieliśmy ten klubowy akcent. Potem papierosy zamieniła na jakieś patyczki, pewnie za sprawą Hermy, ale to już się nie przyjęło.

Andrzej Żądło

(Matura 1967)

BOGUSŁAWA JANECKA

Pani prof. Janecka to była taka kochana osoba, że potrafiła przez cztery lata udawać, że nie widzi, iż uczeń, który w tym czasie zaczął botanikę, później biologię, potem jeszcze coś z tych nauk o człowieku, z tym samym zeszytem i z tym samym skończył. Wtedy były niezwykle trwałe materiały piśmiennicze. Pani Janecka nie męczyła człowieka nadmiernie, jak już raz się przekonała, że dany egzemplarz jest coś wart, to już tę opinię aż do matury z sobą nosiła. Jak w 8. klasie narysowałem ładną żabę w zeszycie, to tak dobrze zostałem zapamiętany, że na maturze nawet 5 dostałem.

Jak Pani Janecka to robiła, że udało jej się wtłoczyć do większości głów tę biologiczną wiedzę, praktycznie bezboleśnie, tego do dziś nie wiem. Nigdy nie widziałem pani profesor zdenerwowanej. Dla mnie była ona chodzącą dobrocią i ma to związek z pewnym incydentem, jaki przydarzył mi się po ukończeniu szkoły. Miałem mianowicie taki okres w swoim życiu, że nie było dla mnie lepszych zajęć i byłem zmuszony pracować jako nauczyciel w konkurencyjnym liceum. Pracę swoją traktowałem nie jako obowiązek, ale jako wielką przyjemność, nie stresowałem się zbytnio, czasem wcale. Co przyczyniło się do tego, iż pewnego razu wróciłem z dziewczynami z wycieczki po parkach gorzowskich bez dziennika lekcyjnego. Gdzieś mi się po prostu zapodziało, więc wielkiego problemu nie robiłem. Nagle w nocy, ktoś zapukał do moich drzwi i poprosił mnie, abym natychmiast udał się pod podany mi adres. Wchodzę do mieszkania w domu przy Parku Róż, a tam siedzi (o północy prawie) elegancko ubrana Pani Profesor, Jej małżonek, na stole kawa, ciasto jakieś, a z boku leży dyskretnie... dziennik lekcyjny. Ten, co mi się zawieruszył w tych parkach. Pani Janecka prezentuje takt i wdzięk starszej Koleżanki, pełna wyrozumiałość dla mej tragedii (to znaczy tego dziennika, który się zawieruszył), żadnych podziękowań, czy innego dobrego słowa nawet nie chce słyszeć ode mnie. Ona była po prostu szczęśliwa, że mogła pomóc młodszemu koledze. Dziennik ten znalazł Jej mąż, też tej samej klasy człowiek, nie zostawił go, nie wyrzucił do kosza, nie zniszczył, ale zadał sobie wiele trudu, by dotrzeć do tego, kto go zgubił. A mógł po prostu odnieść do szkoły. Wiedział jednak, że ten nauczyciel nieszczęsny, któremu to się zdarzyło, mógłby być bardziej nieszczęsny po rozmowie ze swoją dyrekcją. Rozmawialiśmy sobie jeszcze, mimo dość późnej pory długi czas, a przed moim wyjściem pani Profesor dała mi dyskretnie znać, że pamięta mnie jako ucznia, a to, że wcześniej tego nie zrobiła, kładę na karb tego, że nie chciała mnie nadmiernie krępować.



*Pani prof. Bogusława Janecka
– nauczycielka biologii.*

Andrzej Żądło

(Matura 1967)

Bardzo miło wspominać dziś prof. Janecką. Pani Profesor była wspaniałym i dobrym człowiekiem, doskonałym nauczycielem biologii i wychowawcą wielu absolwentów naszej szkoły. Dziś z perspektywy czasu bardzo doceniam jej metody pracy dydaktycznej. Miała jakiś osobisty, spokojny styl przekazywania wiedzy, umiała zainteresować biologią każdego.

Pamiętam, kiedy na jednej z ostatnich lekcji biologii stawiała mi ocenę końcową, spytała: „dlaczego ty się uczysz tej biologii, potrzebna ci na studia?” Odpowiedziałam jej szczerze: „Pani profesor tak świetnie tę biologię wyklada, że wszystko samo wchodzi do głowy i nie sposób tego nie umieć”. Jej lekcje to były prawdziwe wykłady, takie jakie mają studenci. Wszystko mieliśmy zanotowane w zeszytach i tego wymagała, a było tych notatek dużo, książki służyły tylko dla uzupełnienia wiedzy. Miała niezwykle łagodne usposobienie, nigdy nie była zdenerwowana, a może nie chciała tego zdenerwowania okazać. Na jej lekcje szliśmy jak na jakieś spotkania z biologią i nie czuliśmy stresu. Była pedagogiem o wysokim poziomie wiedzy, a nade wszystko umiała w doskonały sposób tę wiedzę przekazać. Za przygotowanie do matury i egzaminów na studia z pewnością podziękowało Jej spore grono absolwentów naszego LO. Mam na myśli lekarzy, farmaceutów oraz innych zawodów związanych z biologią. Cieszyła się wielkim szacunkiem wszystkich uczniów.

Barbara Jankowska

(Matura 1977)

STANISŁAW KADELA

H₂O

Profesor Kadela, postrach wielu roczników naszej szkoły, zapisał się w mojej pamięci jako mądry i ciepły człowiek, którego życie trochę potargało. W trzeciej klasie (ostatni rok chemii) stwierdził, że papierosy, które kopciłam przez całe liceum, zadymiły mi mózg i mam teraz wodę w głowie, po czym wstawił mi do dziennika (dosłownie): H₂O. Strach uleciał, wściekłość nastąpiła i chyba coś naprawdę miałam z głową, bo postanowiłam zdać maturę z chemii. Mina prof. Kadeli na powtórkach bezcenna! Chemię zdałam bez kłopotu i okazało się, że ten groźny Kadela to sympatyczny facet, trzeba było tylko inaczej i do Niego podchodzić, i chemii się uczyć. A na paleniu fajek i tak mnie nie złażał, chociaż próbował przez 4 lata! Ale to H₂O zapamiętam do końca życia.

Mirka

(Matura 1977)

Prof. Kadela miał swój specyficzny stosunek i do uczniów, i do przedmiotu, który wykladał. Oczywiście, gdy miał na to ochotę. Moja klasa miała chemię w sobotę (kiedyś tak było), a w tym dniu w „Gazecie Gorzowskiej” była krzyżówka, którą należało rozwiązać, a nie chcieliśmy prof. Kadeli tej przyjemności odbierać. Dlatego trzy lata chemii zeszyły jemu i nam na krzyżówkach. Nie przesadzam, są świadkowie. Kto chciał, ten w międzyczasie, coś tam z tej chemii uszczknął. Ci co nie mieli takiej konieczności musieli później w dorosłym życiu tę wiedzę nadrabiać. Choćby, piszący te słowa, który w LO nie potrafił odróżnić wodoru od tlenu,

a pracę magisterską pisał w... Zakładzie Biochemii. Prof. Kadela był ceniony przez uczniów za duże poczucie humoru, optymizm i dystans do wszystkiego.

Andrzej Żądło
(Matura 1967)

KAZIMIERZ GIZIŃSKI, HALINA MAJCHRZYCKA

Profesor Kazimierz Giziński nosił buty ze świńskiej skóry, a czubki tych butów tak ładnie się w górę wykrzywiały, że tlen mylił się z wodorem ze śmiechu.

Prof. Halina Majchrzycka przez cały mój okres uczęszczania do liceum, donosiła mojej mamie, z jaką dziewczyną się zadaję, radziła, jak mnie uchronić przed zgubnym wpływem tej, czy innej. O, niech będzie, że teraz jestem Im wdzięczny, że mnie tak chroniły!

Andrzej Żądło
(Matura 1967)



Rok 1970. Jesienne wycieczki. Profesor Giziński z klasą III A.



Prof. Edward Koralewicz podczas jednej z wielu uroczystości szkolnych w auli.

EDWARD KORALEWICZ

Błady strach padł na nas zaraz po rozpoczęciu roku szkolnego 1968/1969. Byliśmy z różnych podstawówek, ze zróżnicowanym poziomem znajomości matematyki. Wybierając klasę o profilu „humanistycznym” marzyła nam się matematyka „light”. Tymczasem stanął przy katedrze facet z dużą głową i cierpko zakomunikował: „No to zobaczmy, czego was tam trutnie nauczyli”. Jego metody „pedagogiczne” były doprawdy osobliwe. Od rzucania sakiewką z kluczami, kredą, szmatą od tablicy, czy książkami, walenie metrową linią po „zakuty” łbach (najlepiej wychodziło to na delikwentach w pierwszej ławce), po stawianie niedouczonych panienek i młodzieńców po kątach, gdzie odbywał się gwałtowny matematyczny „dokszałt” z twierdzeń, wzorów, sinusów i tangensów. A wszystko w celu pobudzenia uspijonych szarych komórek.

W klasie maturalnej prawie wszyscy zdali sobie sprawę z bezmiaru swej matematycznej niewiedzy, który lekko ograniczyć mogły tylko dodatkowe lekcje... u tegoż Profesora! I co się okazało? Otóż poznaliśmy Go wtedy (późno, bo późno) z zupełnie innej strony. Odkrył nam w ciągu tego półrocza wiele tajników tego, dotąd niepojętego przedmiotu. Pokazał, że wyniki na końcu książki mogą zgadzać się z naszymi. Z humorem (!) i pasją nauczył nas matematyki!

Na maturze, gdy chodził między rzędami i z uśmiechem kiwał potakująco głową, zaglądając przez ramię piszącym, po raz pierwszy byliśmy Mu wdzięczni za Jego trud i upór. Potem, już na studiach na UAM nasza (piszę w liczbie mnogiej, bo było nas dwoje z tej samej klasy) Pani docent dr S. od matematyki głośno mówiła o wysokim poziomie w naszym LO w Gorzowie! I choć później długo, długo nie musiałem badać przebiegu zmienności funkcji, przyszedł dzień, kiedy to mój Junior w niemieckim gimnazjum potrzebował pomocy. I otworzył z podziwu gębę: tata TO potrafi!!! Tę satysfakcję składałam w podzięk Panu, Profesorze Koralewicz!

Gustaw Sander
(Matura 1972)

Prof. Koralewicz wkładał wiele serca w nauczanie matematyki. Najbardziej jednak zapamiętałem opowiadany przez niego kawał (a może to prawdziwa historia?) o tym, jak na pyta-

nie: „Czym czyścimy lufę karabinu?; jeden ze studentów zaciągnięty do armii odpowiedział: „Logarytmem”. A że podoficer zaciągał po rosyjsku: „Nuuu logarytmem też można, ale wyciorem lepiej”.

Wspaniały profesor - był moim wychowawcą przez dwa lata - potem odszedł na emeryturę.

Paweł Kozupa
(Matura 1992)

MIROŚŁAWA GUSZKOWSKA

To była ostatnia środa I semestru roku szkolnego 1991/92. Pamiętam jak dziś, dzień był mroźny, ale słoneczny. Lekcję angielskiego miałyśmy wówczas (miałyśmy, bo to była ostanía żeńska klasa) w gabinecie fizycznym prof Slezion. Pani profesor Guszowska jakby nigdy nic z charakterystycznym uśmiechem na ustach powoli i majestatycznie wchodziła po schodach.

Jako osoba małych rozmiarów, za to wielkiego serca objawiła się nam w całej okazałości. Trudno było opanować śmiech. Pani Profesor miała na nogach dwa czarne kozaczki, zdecydowanie różniące się stylem, a jednak oba czarne i oba poza kostkę. W trakcie lekcji Pani Profesor za nic nie mogła zrozumieć, czemu w miarę grzeczna do tej pory klasa była taka „uchachana”. Agnieszka K., która została poproszona wówczas do odpowiedzi, nie mogła się skupić. Dziewczyny nie ukrywały ogólnej wesołości, a profesor koniecznie chciała dopytać Agę na „szóstkę”. To jedna z lekcji, której nie zapomnę. Po niej nastąpiła długa przerwa, a następna była katecheza z ks. Zygmuntem Kowalcukiem. Ten młody wówczas człowiek zupełnie nie mógł opanować ataków śmiechu. Wszedł do klasy, parszając raz po raz... Ostatecznie wyznał nam: „Wiecie dziewczyny, nie mogę (tu kolejny atak śmiechu)... musiałem powiedzieć Pani Profesor, od razu wzięła taksówkę, ale jak ona to zrobiła?” Nigdy nie wracaliśmy do tego tematu z Panią Profesor, za to wszyscy pamiętają jej charakterystyczne francusko brzmiące „r”. Gramatyka angielska była na medal. W mej pamięci pozostanie Ona jako dobry duch tej szkoły...

Kasia Guzenda
(Matura 1995)



Rok szkolny 1980/1980. Uroczyste pożegnanie absolwentów. Od prawej : p. prof. Mirosława Guszowska, Janina Szatkowska, Katarzyna Cempel, Krystyna Brok, Helena Ročko.

JADWIGA RZEMIENIECKA

Nauczycielka języka niemieckiego, Jadwiga Rzemieniecka.

Z panią profesor Rzemieniecką miałam przez rok zajęcia z języka. To oaza spokoju i cierpliwości. Lekcję zaczynała od zaparzenia sobie właściwego napoju. Ze stoickim spokojem prosiła o rozłożenie na ławkach słowników tematycznych.

„Ordnung muß sein..” - to jedna z pierwszych lekcji tematycznych, później standardowa „pogoda” i nauka odmiany czasowników na pamięć. Śpiewny głos i tajemniczy uśmiech niemal jak u Mona Lisy - to jej znaki rozpoznawcze. Kiedy kilka lat temu moje podopieczne z internatu wróciły ze szkoły ze smutną wiadomością o jej śmierci, poczułam jak coś mi umyka.. Mogę odważnie przyznać, że miałam szczęście do dobrych ludzi, Nauczycieli z powołania.

Kasia Guzenda
(Matura 1995)

TERESA KLIMEK

Chciałabym również wspomnieć osobę, którą spotkałam tylko raz jako uczennica. Myślę o pani profesor Klimek. Szczery uśmiech, pobłażliwość, ciepło, serdeczność i ogromna troska o samopoczucie innych. Pani Profesor znalazła się w Komisji Egzaminacyjnej do II LO. Egzamin



Rok 1974. Klasa II A na wycieczce w Warszawie wraz z opiekunami : p. prof. Teresą Klimek i Haliną Kołosowską.

dla uczniów z mojej szkoły odbywał się w sali nr 8. Pamiętam, że podchodziła do większości z nas, pytała o samopoczucie. Mnie zapytała o imię - Katarzyna - a później zaczęła mi opowiadać o mojej patronce Katarzynie Laboure. Zdezorientowana czekałam na egzamin i słuchałam zaskoczona. Tak naprawdę ta opowieść zadziałała jak najlepszy lek na stres. Wszelkie lęki, obawy i strach minęły, później nie było na nie czasu. A z egzaminu dostałam czwórkę, za co Pani Profesor bardzo dziękuje!

Kasia Guzenda
(Matura 1995)

STEFAN KWIATKOWSKI

Prof. Kwiatkowski - kolejna legenda 19-stki. Wzorcowy przykład powiedzenia: „w zdrowym ciele zdrowy duch”. Wuefista, humanista i normalny facet w jednym. Ma chyba najdłuższy staż jako nauczyciel naszego liceum. Nie będę żyjącemu (i to w jakiej formie) człowiekowi cenzurek wystawiał, bo świadczyłyby to o mojej nieskromności. A każde wyliczanie jego zalet i zasług pewnie byłoby niekompletne, a nie o to chodzi. Chylę czoła przed wiedzą, fachowością, pracowitością i życzliwością Pana Profesora, który nie był i nie jest łasy na pochlebstwa.

Absolwent II LO



Rok 1981. Prof. Stefan Kwiatkowski ze swoimi uczniami na lekcji wychowania fizycznego.

O SZKOLE

PIERWSZY STRAJK ROBOTNICZY

Pierwszy strajk robotniczy miał miejsce w 1965 lub 66 roku, gdy młodzież męska naszego liceum, w ramach resocjalizacji pewnie, brała ochotniczo udział w tzw. OHP, czyli hufcu pracy (jak z nazwy wynika - całkowicie dobrowolnym). Pojechalśmy pociągiem w wagonach typu „arizona” w kierunku Krzyża, a potem gdzieś dalej. Naszym opiekunem obyczajowym był prof. Kwiatkowski, do dziś się zastanawiam, czy za jakąś karę był tam z nami zesłany, bo my jechaliśmy po przygodę i majątek do zdobycia. I tak lepiej, że nie wysłano z nami Pani Profesor od rosyjskiego o nicku „caryca”, bo wtedy ten strajk miałby już reperkusje międzynarodowe. Mieliśmy jakimiś brazylijskimi maczetami trzebić szkółki leśne, sadzić choinki, no i oczywiście poznawać trud pracy fizycznej. Nie było tak źle, od razu samorzutnie wyłoniły się grupy przodowników pracy w liczbie: 1 (słownie jeden) i klasa średnia, bardziej liczna (ok. 30 przyszłych adwokatów, inżynierów, menadżerów), no i oczywiście klasa maruderów, „niebieskich ptaków”, w której ja byłem. Bo niby w jakiej miałem być? Wszystko byłoby fajnie, bo prof. Kwiatkowski jak mógł, organizował nam zajęcia pozalekcyjne po tych leśnych pracach (całe popołudnia piłka nożna, zamiennie z dancingami w zaprzyjaźnionym żeńskim hufcu).

Po tygodniu albo dwóch zauważyliśmy, że jedzenie w leśnej stołówce zaczęło gwałtownie tracić wartość energetyczną. Wywiad ustalił, że już od paru dni jedliśmy na kredyt, bo przy ustalonych stawkach, nie byliśmy w stanie na siebie zarobić. Dlatego postanowiliśmy zmienić warunki płacy i pracy. Nie chcąc robić ambarasu naszemu opiekunowi kochanemu, sami pewnego ranka zaczęliśmy klasyczną akcją strajkową. Doglądający nas gajowy nie zdawał sobie sprawy, co się szykuje. Za długo żył w nowym systemie polityczno-społecznym i nie wiedział, co to jest strajk. A my, jak według najlepszych wzorów: jakaś flaga, zwarty pododdział marszowy, śpiew, kierownictwo wybrane - idziemy z tej plantacji w kierunku leśniczówki. Zrobiła się wielka afera w obszarach leśnych i wszystko odbyło się klasycznie. Były negocjacje, ustalenia, renegocjacje. W każdym bądź razie niewiele brakowało, aby nasze liceum znalazło się na kartach historii pierwsze. I jedzonko się poprawiło, więcej dancingów nam organizowano, honoraria za pracę wzrosły znacząco, tak, że za miesiąc harówki mogłem kupić sobie aparat fotograficzny Smiena albo nawet Smiena S. Prof. Kwiatkowski też cało wyszedł z tej przygody, bo jeszcze długo mógł uczyć następne pokolenia. W każdym bądź razie trzymał naszą stronę w tym sporze pracowniczym, od początku do końca.

Andrzej Żądło
(Matura 1967)

LEKCJE ZACZYNALIŚMY APELEM

Moim wychowawcą w klasie VIII był pan Filipczyk, a następnie, aż do matury pan Kossak. Klasa XI była połączona (A+B).

Bardzo miło wspominam panią profesor Majchrzycką, która zawsze nas, sportowców broniła, gdyż ciągle któryś w czymś podpadał.

Lekcje zaczynaliśmy apelem, który odbywał się w auli dla całej szkoły. Obecność na apelu była obowiązkowa, nie było usprawiedliwienia. Prowadziłem apel, gdy umarł tow. Stalin. Pan dyrektor wszedł na scenę i oznajmił nam smutnym głosem, że umarł wódz narodów, ojciec nasz, Stalin. W auli zapanował smutek wśród młodzieży, niektórzy płakali. No cóż, szkoła była świecka, uczniowie z internatu nie mogli chodzić do kościoła, gdyż w tym czasie mieliśmy naukę własną. Podczas codziennego apelu podawano wiadomości z Polski i ze świata, a na zakończenie śpiewaliśmy wszyscy „Naprzód młodzieży świata” i rozchodziliśmy się do klas. Pamiętam, że np. z biologii najważniejsza była znajomość życiorysów wszystkich uczonych lub pseudouczonych radzieckich. Śpiewaliśmy też dużo pieśni o Stalinie. W klasie XI z języka polskiego mieliśmy „Naukę o języku polskim”. Do tej nauki był piękny podręcznik w twardej oprawie, z hasłami napisanymi grubym drukiem. Autorem tej książki był Józef Wisarianowicz Stalin.

Istniało ZMP. Siedziałem w ławce ze Zbyszkim Domaradzkiem i obydwaj w klasie nie należeliśmy do tej organizacji, a „groziła nam matura”. Dzisiaj mogę powiedzieć, że nie byliśmy opozycjonistami, ale po prostu byliśmy oporni i nie zapisaliśmy się. ZMP miało duży wpływ na wychowanie młodzieży, kształtowanie jej patriotycznej postawy. Chociaż nie należałem do ZMP, to muszę stwierdzić, że organizacja ta odegrała bardzo pozytywną rolę w wychowaniu młodzieży, mając na nią olbrzymi wpływ.

Dyrektor Herma był bardzo groźny. Ochrzanił, nakrzyczał, czasem wypchnął z gabinetu, ale nie był mściwy i potem wszystko zapominał.

Mieliśmy obowiązek jeździć na brygady SP – żniwa, wykopki, nawet uczniowie z gospodarstw rolnych musieli wyjeżdżać na brygady żniwne. Uczniowie byli bardzo biedni. Były takie przypadki, że jak uczeń przyszedł do VIII klasy w nowym ubraniu, to w nim chodził na lekcje, w święta i w niedzielę, i był też na balu maturalnym.

Poza wyjazdami na brygady większość uczniów nigdzie nie jeździła przez cztery lata nauki, tylko do domu. My ze Zbyszkim poznaliśmy trochę Polski – graliśmy w koszykówkę w „Spójni” Gorzów i wyjeżdżaliśmy na mecze.

Poziom nauczania w szkole był bardzo wysoki. Pięciu uczniów z XI klasy przed końcem roku pojechało na egzaminy na uczelnie radzieckie. Wszyscy zdali na piątki. W związku z tym przyjechała do szkoły specjalna Komisja Pedagogiczna, która przyglądała się, jak nasi nauczyciele prowadzą lekcje, aby ich doświadczenia przekazać innym.

Podsumowując, pragnę stwierdzić, że tak samo jak ja, inni koledzy okres szkoły wspominają bardzo miło, chociaż nie wolno było uczniom chodzić po godzinie 20:00 po mieście, bo groziło to aresztem.

Kazimierz Dąbrowski
(Matura 1956)

... ŻE JA TO PAMIĘTAM

Szkołę ukończyłem w 1966 roku, wychowawczyni Kasia Cempel, kapitalna klasa „a”. Z niektórymi mam kontakt. Oczywiście z sentymentem wspominam wychowawczynię. Z innych nauczycieli to Kazimierza Gizińskiego, nauczyciela fizyki. Otóż w ósmej klasie zapisałem się z moim, niestety śp., bratem Jerzym na kółko fotograficzne. Mogę powiedzieć, że Kaziu

zaszczepił we mnie bakcyła fotografii. Po rozwiązaniu kółka dawał nam klucze do gabinetu, abyśmy mogli sobie robić odbitki. Przy okazji udało nam się wejść do jego pokoiku obok i poprawiać nasze cieniutkie klasówki.

Z sympatią wspominam p. Bubienia, fascynowała mnie astronomia, którą wykładał. Nawet myślałem o takich studiach, ale wybito mi je z głowy. Okazało się jednak, że fotografia była mi pisana. Nie wiedziałem, jaki kierunek wybrać na Politechnice Poznańskiej, dlatego zdecydowałem się na nowy, eksperymentalny, technikę świetlną. To był strzał w dziesiątkę, do dziś przydaje mi się ta wiedza i dużo spraw przekazuję młodzieży na wykładach z podstaw fotograficznej techniki oświetleniowej. W Poznaniu wygrałem w 1971 roku konkurs „Pierwszy krok w fotografii artystycznej” i poooooleciało! Do dzisiaj. O niesympatycznych ludziach wołę nie mówić.

Cholera, że ja to pamiętam? Chyba pamięć wsteczna....

Jacek Lalak
(Matura 1966)

PIERWSZE LATA SZKOŁY PODSTAWOWEJ I LICEUM TPD

Od 1 września 1949 roku, przy ulicy Przemysłowej 22 w Gorzowie Wlkp., została powołana Szkoła Podstawowa Przyjaciół Dzieci. Szkoła nie została objęta rejonizacją, nie obowiązywała w niej nauka religii. Stała się Szkołą Rozwojową Liceum Ogólnokształcącego do czasu, aż stanie się jedenastoklasową. Z założenia miała być awangardą przy budowie nowego ustroju robotniczo-chłopskiego Socjalistycznej Polski. Rzeczywistość okazała się inna. Większość uczniów przyjętych do szkoły pochodziła z rodzin katolickich i musiała dojeżdżać z różnych miejscowości.

Pierwsze lata liceum to ostatnie lata stalinowskie w Polsce. Atmosferę tamtych lat szkolnych charakteryzowały: przynależność uczniów do ZMP (Związku Młodzieży Polskiej), uczestnictwo w pochodach 1-majowych i masówkach, wykopkach oraz miesięcznym obozie pracy „Służba Polsce”. Obóz odbywał się podczas wakacji. Pracowaliśmy w PGR na Pomorzu (Grzmiące) i traktowano to jako praktykę z przedmiotu - przysposobienie wojskowe. Hasła przewodnie tych lat to: „Walka o pokój” i „Ręce precz od Korei”.

W pierwszym roku szkolnym była tylko jedna klasa liceum, w następnych po dwie. Pierwszą maturę zdało 13 z 17 uczniów. Drugi rocznik, z dwoma klasami zmniejszył się do jednej. Do matury dopuszczono 29 uczniów, zdało ją 24.

Dyrektor Szkoły Karol Herma szczególną opiekę sprawował nad rozwojem sportu i nadzorował laickiemu wychowaniu uczniów liceum. W szkole działał chór i zespół taneczny, które dawały występy w PGR-ach i jednostkach wojskowych. Świeckie wychowanie w szkole nie zmieniło jednak naszego światopoglądu. Pupilek dyrektora po Światowym Zjeździe Młodzieży w Warszawie wstąpił do seminarium duchownego i został księdzem.

Pierwsze grono pedagogiczne reprezentowali: dyrektor Karol Herma, zastępca dyrektora (i mój wychowawca) Marian Dobkowicz; nauczyciele: Regina Andruchowicz, Ryszard Gromiec, M. Gajewski, F. Klorek, Kośmider, D. Suchodzki, St. Filipczyk, T. Kosak, D. Sworowska, Kubrakowa, Majchrzycka, J. Niewiadomski, E. Szymeczko, M. Gajewski, R. Oleszko, A. Moździerz.

Z wyżej wymienionego grona żyje jeszcze 4 profesorów.

Bronisław Szpakowski
(Matura 1955)

WSPOMNIENIA O „DZIEWIĘTNASTCE”

Lata spędzone w „Dziewiętnastce” wspominam ze szczerym rozrzewnieniem i ... pamiętam tylko sympatyczne chwile i miłe zdarzenia. Oczywiście wynika to także z faktu, że są to wspomnienia młodości! Ale wiąże się to także z faktem, że miałam szczęście spotkać w tej szkole wspaniałych nauczycieli i kochane koleżanki. Koleżanki - bo chodziłam do klasy żeńskiej i wydaje mi się, że stworzyłyśmy naprawdę sympatyczną i zgraną klasę. O czym może świadczyć fakt, że po tylu, tylu latach Dziewczyny spotykają się często i z prawdziwą radością! Ja niestety ze względu na „emigrację” do rodzinnego Poznania mam bardzo rzadko okazję być na tych spotkaniach. Ale od czego są telefony!

Trudno jest wymienić jednego nauczyciela, który zapadł w pamięć najbardziej. Myślę, że najwięcej kontaktów mieliśmy oczywiście z naszą Wychowawczynią prof. Anną Makowską – czyli z Naszą Panią. Byłyśmy Jej pierwszą klasą po ukończeniu studiów, a więc różnica wieku była nieduża i łatwiej było nawzajem się zrozumieć. Wspominam bardzo serdecznie prof. Bonifacego Suheckiego, posiadającego ogromną wiedzę merytoryczną, traktującego nas zawsze bardzo serio. Wspominam prof. Katarzynę Cempel, która mimo, że miała prawo wielokrotnie gniewać się na nas za „plażę” w posiadanej wiedzy – to lubiła nas i z pasją przekonywała do historii.

W moich wspomnieniach zawsze pojawia się prof. Albert Bubień, o którym w języku obecnych studentów można powiedzieć „siła spokoju”! Profesor przekonywał nas, że inteligentny i kulturalny człowiek powinien znać nie tylko tajniki geografii i astronomii, ale że także śpiewu i muzyki. Próby i występy chóru (prowadzonego przez Profesora) to też wspomnienia o naszej Szkole!

Czy nasi nauczyciele wpłynęli na nasze życie – myślę, że tak. Nawet nie potrafię wymienić faktów, które zadziały bezpośrednio, ale stworzyli Oni podstawy do niektórych naszych wyborów, ukształtowali podwaliny naszych opinii i sposobu oceniania świata. Przyjazna at-



Prof. Katarzyna Cempel, wychowawczynie klasy XI C wręcza świadectwa dojrzałości.

mosfera w szkole, brak objawów nacisków, czy jakiejś presji, ale poczucie, że kadra chce nas „wykierować na porządných ludzi” była z nami cały czas!

Po ukończeniu LO nr 19 razem z rodzicami i bratem wróciłam do rodzinnego Poznania. Kolejno podjęłam studia na Politechnice Poznańskiej na Wydziale Elektrycznym, a potem pracę właśnie na tej uczelni. Pracuję na Politechnice Poznańskiej do chwili obecnej i mam nadzieję, że i do emerytury. Aktualnie drugą kadencję mam przyjemność sprawować obowiązki prorektora ds. nauki Politechniki Poznańskiej –uczelni z 20 tysiącami studentów i ponad dwoma tysiącami pracowników, pracującymi na 10 wydziałach. Za dwa lata kończę sprawowanie tej funkcji administracyjnej i będę mogła w pełni poświęcić się dalszej pracy naukowej, czyli więcej czasu poświęcać na zgłębianie ciągle aktualnych zagadnień z techniki wysokich napięć. Moja dziedzina naukowa nie jest typowa dla kobiet, bo wysokie napięcia, jak pokazuje życie, zdecydowanie bardziej fascynują mężczyzn, co szczególnie można zaobserwować na różnego rodzaju konferencji naukowych, gdy na sali obrad panie stanowią maksymalnie 2-5% wszystkich uczestników!

Gdy wspominam siebie, siedzącą na lekcjach matematyki czy fizyki, to wiem, że nigdy nie marzyłam, że sama kiedyś będę prowadziła wykłady na uczelni uniwersyteckiej! Że będę egzaminować młodych ludzi, inspirować do pracy młodych doktorantów, żegnać kolejne grupy absolwentów, a wchodząc na salę podczas kolejnych konferencji i spotkań przekonywać się, że ogromna część sali to... moi studenci sprzed kilku lub... kilkadziesiątu lat! Łatwo więc zrozumieć, że trudno mi będzie zakończyć pracę zawodową, bo stała się ona dla mnie bardzo ważną częścią życia.

Czy życie potoczyło się tak, jak sobie wymarzyłam? Odpowiedź bardzo trudna... Niektóre sprawy zupełnie rozminęły się z planami, niektóre znacznie je wyprzedziły i wzbogaciły. Ale wspomnienia o naszej „Dziewiętnastce” i uzyskane w niej podwaliny naszego rozumowania i naszego odbioru „świata” są po prostu w nas!

Dziękuję Wszystkim, których spotkałam podczas nauki w naszej Szkole za to, że moje wspomnienia są tak piękne!

Aleksandra Rakowska

(Matura 1968)

obecnie Poznań i Politechnika Poznańska

OSTATNIA RURA W LICEUM, CZYLI MOJA „DZIEWIĘTNASTKA”

Do „dziewiętnastki” chodziłem w latach 1969 – 1973. I choć pewnie każdy rocznik uważa, że był w dziejach XIX Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Curie-Skłodowskiej niezwykły, nasz czas przypadł na lata wyjątkowe. Był to ostatni rok dyrektorowania Karola Hermy, trzymającego szkołę żelazną ręką, uważanego za despotę, który w uczniach wzbudzał w równej mierze strach i respekt. Jeśli dobrze pamiętam, właśnie dyrektor Herma był twórcą potęgi liceum, ale miał też wielu krytyków. Do osobistego wspomnienia o Karolu Hermie jeszcze wrócę, a teraz kolejny dowód na wyjątkowość naszego rocznika. Byliśmy pierwszą (chyba w całym regionie) klasą o profilu matematyczno-fizycznym, do której nabór prowadzono w powiecie. Dlatego w naszej klasie znalazło się wiele osób spoza Gorzowa. To, co dziś jest w szkolnictwie regułą, czyli klasy profilowane, wtedy było eksperymentem. Nabór do klasy „a” w 1969 roku odbywał się na podstawie specjalne-

go testu z matematyki. Zaplanowano go w czasie wakacji, a ja już byłem mianowany obozowym na zgrupowaniu harcerskim wspaniałego Szczepu im. gen. Mariusza Zaruskiego. A chciałem być zarówno na obozie, jak i w klasie matematycznej. Mógł to załatwić tylko ów Herma. Na galareto- wych nogach podszedłem do niego na boisku szkolnym i powiedziałem w czym rzecz. Wypytał mnie o harcerstwo, ale potraktował chłodno. Nie byłem pewien, czy dopiąłem swego. Jaka była moja radość, gdy 1 września odczytano skład pierwszej „a” i oprócz tych, którzy dostali się na pod- stawie wyniku testu, wymieniono jeszcze dwa nazwiska – Klimka i moje. Zabijcie mnie, nie pamię- tam, który to był Klimek – Tomasz czy Kazimierz, ale mniejsza o to, bo obaj byli matematycznymi geniuszami i z Marianem Śmiglakiem stanowili o sile naszej klasy w matmie.

Rok był też przełomowy dla reformy oświatowej, bo w „19” utworzono specjalną klasą dla drugorocznych (z całego województwa), którzy byli ostatnim rokiem uczącym się w siedmio- letniej szkole podstawowej. Co w tej klasie byli za modele... To oni wstawili słynnego traban- ta profesora Gizińskiego między drzewa tak, że nie dało się nim w żaden sposób wyjechać. Zresztą szkołę pamiętamy głównie z różnych numerów i wygłupów, bo nauka jest zajęciem dość monotonnym. Po latach okazuje się, że liceum to bardziej czas kształtowania charakte- rów niż zdobywania wiedzy, zwłaszcza tej przydatnej w dorosłym życiu.

W całej oświacie, a więc i w XIX LO, następowała liberalizacja, której symbolem był nowy dy- rektor Jerzy Pietrzyk. Naszym wychowawcą przez całe cztery lata był fizyk, wspomniany już Ka- zimierz Giziński. Na jego lekcjach najbardziej lubiliśmy różnego rodzaju doświadczenia fizyczne i eksperymenty, których wynik – nawet przy znajomości praw fizyki – był trudny do przewidze- nia. Na pewnej lekcji było tak. – Dzisiaj zobaczycie piękne i ważne doświadczenie: wyładowanie elektryczne w próżni – powiedział profesor Giziński i wydał siedzącemu przy drzwiach uczniowi polecenie: – Kustosz, idź do profesora Suheckiego i pożycz rurę do wyładowań w próżni. – Pro- fesor Suhecki powiedział, że nie pożyczysz rury panu profesorowi, bo pan „psor” wszystkie rury wytlukł i została mu już tylko jedna – powiedział po powrocie Leszek Kustosz. – Och Kustosz, ty nigdy nie potrafisz nic załatwić. Sam pójdę – rzekł prof. Giziński i po chwili triumfalnie wrócił z rurą. Położył ją na katedrze, odwrócił się do nas tyłem i zaczął pisać wzory na tablicy. Zapadła cisza i cała klasa usłyszała równomierny stukot. To rura zaczynała się powoli toczyć po biurku. Profesor nagle uświadomił sobie groźbę sytuacji, rzucił się na biurko, ale było już za późno. Ostat- nia rura do wyładowań w próżni roztrzaskała się z hukiem. Bo katedra profesora Gizińskiego nie trzymała poziomu i staczało się z niej wszystko, co okrągłe. Zachowuję profesora Kazimierza Gi- zińskiego we wdzięcznej pamięci, gdyż nie przeszkadzał nam zbytnio w uczniowskich harcach.

Największym autorytetem w gronie pedagogicznym była profesor Krystyna Brok, nasza matematyczka. Umiała do tego trudnego przedmiotu zachęcić i jasno go wykładała. Szkoda, że nie uczyła nas przez całe cztery lata. W moim przypadku rok przerwy spowodował, że zo- stałem humanistą, a mógłbym być inżynierem.

Nasza polonistka pani profesor Jadwiga Szymaniak reprezentowała tradycyjną szkołę nauczania – wymagała dat i faktów, a my chcieliśmy się spierać o wielką literaturę i szpanowa- liśmy Dostojewskim i Grochowiakiem. Żeby podgrzać atmosferę dyskusji, Kaziu Klimek wy- myślił profesora Cichosza, na którego bez przerwy powoływał się na lekcjach. – Klimek, ty już wreszcie przestań z tym profesorem Cichoszem, może go kiedyś zaprosisz na nasze lekcje.

Cała szkoła panicznie bała się nauczycielki rosyjskiego pani profesor Januszkiewicz. Z na- szą znajomością rosyjskiego nie rozumieliśmy, dlaczego po błyskotliwych odpowiedziach po rosyjsku mówiła: – No ładno. Dwa. Teraz wiemy, że „ładno” to po rosyjsku „dosyć”, a nie „ład- nie”. W świat kultury Zachodu wprowadzał nas anglista profesor Ryszard Wilk, co w tamtych czasach było nieocenione. Trudną wiedzę z chemii sączył w nasze głowy profesor Stanisław

Kadela. Na sprawdzianach udawał, że czyta gazetę, w której miał sprytnie zrobioną dziurkę, żeby śledzić, kto ściąga. O kulturę fizyczną zaś dbał niesłychanie sympatyczny i pogodny profesor Stefan Kwiatkowski. Powołał mnie nawet do reprezentacji szkoły w koszykówce, co do dziś jest moim największym sukcesem sportowym. Jedynym nauczycielem ze stopniem doktora był Albert Bubień. Mądrze uczył nas geografii. Człowiek wielkiego spokoju, olbrzymiej wiedzy i bardzo specyficznego poczucia humoru. To on najbardziej się śmiał na naszych programach kabaretowych. Warto o tym kabarecie powiedzieć kilka słów. W pierwszej klasie należałem do harcerskiego kabaretu „Na przełaj”, który robiły starsze klasy. Od drugiej na różne okolicznościowe akademie przygotowaliśmy już samodzielne programy. Z własnymi tekstami i piosenkami. Do naszego kabaretu aspirowali uczniowie z młodszych klas i bardzo chcieli w nim występować. Wzięliśmy raz takiego grubaska z pierwszej klasy do chóru rewelersów. Cały tydzień ćwiczyliśmy układ choreograficzny. Gruby bardzo się przykładał. A my z Waldkiem Grajkim tuż przed występem zmieniliśmy kolejność kroczków. Nasz partner nie wiedział, co się dzieje, ciągle był spóźniony, wpadał na nas. Publiczność ryczała ze śmiechu, myśląc, że tak ma być. A kolega wymęczony, przestraszony, po zejściu ze sceny przeproszał: „Chłopaki, przepaszam, wszystko mi się z nerwów popier...”. Nic się z naszego kabaretu nie zachowało, nie wiem nawet, czy było to śmieszne... Pamiętam tylko, że profesor Bubień bardzo dobrze się bawił. Namawiał mnie zresztą, żebym poszedł do szkoły aktorskiej i przynosił informatory PWST. Muszę na koniec wspomnieć Pana Woźnego, którego nazwiska nie pamiętam. Ale często cytuję jego wypowiedź w sytuacji, gdy widać, że ktoś chce pełnić ważniejszą rolę, niż może: „Ja, pan dyrektor i rada pedagogiczna ustaliliśmy, że te drzwi będą zamknięte” – mawiał nasz Woźny.

Z matury pamiętam tyle, że pani profesor Brok potrafiła wazon z kwiatami. Woda zalała mi garnitur i karteczkę z pytaniem. – Lutomski obłany! – triumfalnie zawołał profesor Giziński, choć dostałem piątkę. Rozmazaną karteczkę mam do dziś w swoim archiwum i prof. Brok pozwoliła mi ją zabrać. Dziś nie potrafię rozwiązać żadnego z tych zadań. Ale czy tego mieliśmy się w naszym kochanym liceum nauczyć?... Po maturze dostałem się na nowo otwierany kierunek pedagogiki na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Później skończyłem Podyplomowe Studium Dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim. Od początku pracuję w redakcji „Rzeczpospolitej”, w której od 11 lat jestem kierownikiem działu kultury.



Krystyna Brok na boisku szkolnym ze swoimi wychowankami.

Jacek Lutomski
Kierownik Działu Kultury „Rzeczpospolitej”
 (Matura 1973)

JAK PRACOWAŁAM Z UCZNIAMI ZAINTERESOWANYMI FIZYKĄ

*„Największe dobro, które jesteśmy w stanie uczynić drugiemu człowiekowi,
to nie oczarowanie go naszymi talentami i możliwościami,
ale pomoc w odkrywaniu własnych”*

Louis Lavalle

Ze szkołą związana byłam 32 lata. Miałam więc okazję spotkać wielu uczniów – bardziej i mniej zdolnych. Pracując ze wszystkimi, starałam się zawsze „wyłowić” przede wszystkim tych, którzy są zainteresowani fizyką i chcą nad nią się pochylić dłużej niż muszą, aby wiedzieć więcej. Z tymi uczniami spotykałam się na zajęciach pozalekcyjnych. Rozwiązywaliśmy ciekawe zadania, przeprowadzaliśmy doświadczenia nieobjęte programem nauczania. Uczniowie bardzo chętnie i bardzo rzetelnie uczestniczyli w tych działaniach; pracowaliśmy wówczas na zasadach partnerstwa. Niektórzy z tych uczniów zdecydowali się na udział w wojewódzkich zawodach lub w olimpiadzie fizycznej. Zapewniałam im szeroki dostęp do literatury przedmiotowej, umożliwiałam i pomagałam w przeprowadzaniu doświadczeń. Bywały przy tym niekiedy spory, zarówno w kwestiach merytorycznych jak i formalnych – bardzo to pochwalałam.

Nie zamykał się jednak tylko we własnym gronie. Przez kilka lat działał przy naszej szkole Klub Młodych Fizyków, którego członkami mogli być uczniowie z różnych szkół go-



Rok szkolny 1983/84. Konkurs wiedzy o Marii Skłodowskiej-Curie. Jury konkursu (od lewej) Katarzyna Mikołajczyk, prof. B. Jankowska, Beata Gizińska.

rzowskich i okolicznych miejscowości. Działalność klubu wspierał Uniwersytet Szczeciński, umożliwiając spotkania w naszej szkole z pracownikami naukowymi Instytutu Fizyki. Mieliśmy też okazję do spotkań z pracownikami naukowymi Instytutu Fizyki Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Jeździliśmy również na wykłady organizowane dla młodzieży szkolnej przez tę uczelnię. Uważałam, że człowiek zawsze uczy się czegoś nowego, innego. Praca z uczniami mobilizowała do poszerzania wiadomości, ciągłego uzupełniania wiedzy, zmuszała też do poszukiwania atrakcyjnych metod i rozwiązań dydaktycznych.

Przypuszczam, że wszystkie te działania miały pozytywne skutki, oczekiwane przez uczniów, nauczycieli i szkołę.

Jednocześnie uważam, że osiągnięcia w olimpiadach, to efekt pracy ucznia – nauczyciel tylko pomaga, podpowiada, kieruje. To uczeń chce zrobić więcej niż wymaga szkoła, chce też zmierzyć się z innymi. Ale bywa też, że mimo wielkich możliwości intelektualnych, uczeń nie chce podjąć się trudnego zadania.

Zajmując się najzdolniejszymi, nie zapominałam o innych. Staralam się zawsze zachęcić do pracy nad fizyką, zainteresować, czasami zadziwić pokazanymi doświadczeniami. Miałam wielką satysfakcję, gdy jedna z uczennic w klasie pierwszej była „ledwo, ledwo” mierny, a kończyła szkołę z mocną czwórka.

Zawsze podkreślałam, że uczyć się – nie oznacza „zakuwać”, ale przede wszystkim rozumieć. Ażeby nie nudzić się na lekcjach – trzeba pracować, bo wtedy jest mniej pracy w domu. W przeciwnym razie tracimy czas, a upływ czasu jest procesem nieodwracalnym.

Uczniowie o swojej pani Profesor:

„Pani Profesor Bogumiła Jankowska należy do wyjątkowych nauczycieli II Liceum Ogólnokształcącego nie tylko ze względu na staż pracy, ale przede wszystkim z powodu klarowności postawy i jednoznaczności wyrażanych sądów”.

„Panią Profesor Jankowską ceniliśmy ogromnie. Imponowała nam swoim zewnętrznym i wewnętrznym uporządkowaniem, pracowitością i konsekwencją w działaniu. Nigdy nie szła na skróty. Oprócz fizyki uczyła nas logicznego myślenia”.

Bogumiła Jankowska (Szczepaniak)
nauczyciel fizyki i wicedyrektor w II LO
(Matura 1962)

O MOJEJ PRACY W LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCYM PRZY UL. PRZEMYSŁOWEJ 22 W GORZOWIE WLKP.

Po ukończeniu I stopnia studiów zawodowych na Wydziale Filologiczno - Historycznym Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie (obecnie: Akademia Pedagogiczna) otrzymałem 26.5.1953 r. nakaz pracy, ważny do 14.8.1956 r.; w tym przedziale czasowym musiałem rozpocząć pracę. Mój profesor z okresu studiów (prof. dr Jan Nowakowski) planował zatrudnić mnie w charakterze swego asystenta na Wydziale Filologicznym, ale przeszkodą zasadniczą w zatrudnieniu był fakt, iż nie należałem do PZPR. Skoro wybrałem Województwo Zielonogórskie, zgłosiłem się, gotów do pracy, w Kuratorium Okręgu Szkolnego w Zielonej Górze. W Kuratorium otrzymałem skierowanie do pracy w Szkole Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącym TPD (Towarzystwa Przyjaciół Dzieci) w Gorzowie Wlkp., przy ul. Przemysłowej 22 – od 16.8.1953 r.

W szkołach TPD nie uczono religii, o czym poinformowano mnie już w KOS ; rzeczywiście, w gorzowskiej szkole nauczać religii zaczęto dopiero od 1956 r. a pierwszym w szkole katechetą był ks. Żydek, zakonnik – oblat z parafii św. Józefa przy ul. Brackiej na Zawarciu.

Mając skierowanie z Kuratorium, przyjechałem w drugiej połowie sierpnia 1953 r. do szkoły przy ul. Przemysłowej 22. W sekretariacie na I piętrze przywitał mnie dyrektor szkoły, pan Karol Herma, który akurat był w doskonałym humorze, bo załatwił miednice do organizowanego internatu i zarazem potrzebował nauczycieli z wyższym wykształceniem, gdyż oprócz 7 klas szkoły podstawowej były już klasy liceum : VIII, IX, X, a od 1.9.1953 r. rozpocząć się miała nauka w klasie XI, tj. w klasie maturalnej. Jako nauczyciel języka polskiego miałem uczyć w klasach VIII – XI, aby, jak mi powiedział dyrektor, przypomnieć sobie cały materiał nauczania języka polskiego w liceum w ciągu jednego roku szkolnego. Nie dodał tylko, że wymagało to olbrzymiego wysiłku intelektualnego i systematycznego przygotowywania lekcji w formie konspektu, co było przedmiotem kontroli i analizy po hospitacji lekcji przez dyrektora szkoły.

Ale najpierw znalazłem mieszkanie (pokój) przy ul. Teatralnej u sympatycznego małżeństwa (on był listonoszem), u którego czułem się jak w domu rodzinnym. Miałem więc od 1 września 1953 r. rozpocząć lekcje języka polskiego w szkole, która zmieniała nie tylko swoją nazwę (Szkoła Podstawowa i Liceum Ogólnokształcące TPD, Liceum Ogólnokształcące nr 19, II Liceum Ogólnokształcące im. Marii Skłodowskiej-Curie), lecz także – swoją organizację. Typowa jedenastolatka przekształcała się stopniowo w szkołę tylko licealną.

Byłem uczestnikiem i twórcą niektórych zmian w historii szkoły, bo przecież człowiek kształtuje historię. Od 1.9.1954 r. zostałem kierownikiem internatu szkolnego przy ul. Woskowej 3b i kontynuowałem organizację i modernizację tegoż internatu do 31.8.1956 r. Szkoła przejęła budynek mieszkalny przy ul. Woskowej 3b, aby zorganizować internat dla uczniów liceum.

Budynek był wyeksploatowany, a w jego oficynie byli mieszkańcy prowadzili hodowlę zwierząt. Trzeba było, mówiąc kolokwialnie, chlew zamienić na stołówkę i kuchnię. Przedsięwzięcie wymagało koncepcji, wielu zabiegów i pieniędzy. Wiele prac wykonał dyrektor, pan Karol Herma, ale powołując mnie na kierownika internatu 1.9.1954 r., liczył, że dokończę jego zamysł i doprowadzę internat do odpowiedniego standardu. Rzeczywiście, pracy w internat włożyłem bardzo dużo; pracowałem bez liczenia godzin, a do niektórych prac, gdy to było możliwe, angażowałem młodzież, np. wspólnie z uczniami wykonaliśmy bramę wjazdową od strony ul. Woskowej tak solidnie, że przez wiele lat spełniała swoje zadanie. Dysponowałem rachunkiem rozliczeniowym, więc z funduszy przeznaczałem część pieniędzy na remonty (przeróbki murarskie, prace malarskie i roboty instalacyjne) i doposażanie w sprzęt pokoi mieszkalnych, kuchni i stołówki. Młodzież mieszkająca w internacie nie sprawiała większych kłopotów wychowawczych. Natomiast spore kłopoty były z młodzieżą męską spoza internatu. Wielu młodych mężczyzn pracowało w tzw. Parkieciarni, która znajdowała się obok kina „Capitol” na Zawarciu oraz w Roszarni (był to zakład przetwarzający len w półprodukt dla przemysłu wyrobów lnianych, mocno rozwiniętego w PRL), usytuowanej za Kanałem Ulgi – Warty. Otóż młodzieńcy ci mieli zwyczaj nachodzić internat wieczorem i dobijać się do pokoi dziewcząt. Często byli pod wpływem alkoholu. Zamykanie drzwi wejściowych powodowało głośne walenie w te drzwi oraz krzyki i nawoływania. Raz, w porozumieniu z chłopcami z internatu, wpuszciliśmy dobijających się na I piętro, a potem sprawiliśmy im „łaźnię”, odciąwszy im drogę odwrotu. A więc były to czasy pionierskie, niczym z filmów kowbojskich nieraz, lecz zarazem – wychowawcze, gdyż młodzież uczestniczyła w tworzeniu wartości materialnych i kształtowała się emocjonalnie.

Od 1.9.1955 r. zostałem przez KOS w Z. Górze powołany na stanowisko zastępcy dyrektora szkoły. Jeszcze przez rok pełniłem także funkcję kierownika internatu, więc musiałem

pogodzić różne obowiązki. W szkole – odpowiadałem za szkołę podstawową z racji funkcji wicedyrektora szkoły (organizacja, nadzór, poziom nauczania, klasyfikacja itp.), ale otrzymałem też inne zadania dydaktyczne i organizacyjne.

Od 1.9.1953 r. palącym problemem stała się biblioteka szkolna. Było w niej 5 500 książek, ale nie były one dokładnie zaewidencjonowane i sklasyfikowane, słowem – księgozbiór był „w rozsypcie”. Dyrektor polecił mi uporządkować bibliotekę i zorganizować czytelnię. Miałem, z racji studiów i własnych zainteresowań, pewną wiedzę, dotyczącą układu dziesiętnego księgozbioru, więc podjąłem się roli bibliotekarza. W czasie od 2 do 21 sierpnia 1954 r. ukończyłem Centralny Kurs dla bibliotekarzy szkół licealnych w Łodzi i 9.10.1954 r. otrzymałem z Ministerstwa Oświaty PRL odpowiednie zaświadczenie, więc kontynuowałem pracę bibliotekarza już legalnie i fachowo. Dużo czasu poświęciłem żmudnej pracy bibliotekarskiej do 31.8.1960 r. Trzeba dodać, że podówczas także uczniowie klas licealnych dużo czytali, przede wszystkim – lektur i wykonywali notatki oraz streszczenia, gdyż trzeba było znać nie tylko problematykę lektury, lecz także – bohaterów i ich perypetie, i to – dokładnie!

Wspomnieć muszę, iż dyrekcja szkoły chciała wynagrodzić mą dodatkową pracę w bibliotece, czyli za sklasyfikowanie i uporządkowanie księgozbioru, więc 10.11.1954 r. wysłała w tej sprawie pismo do KOS w Zielonej Górze. Odpowiedź z KOS, którą odręcznie sformułował kierownik Działu Osobowego w części zacytuję: „Wydział Oświaty Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze powiadamia, iż nie uwzględni prośby dyrekcji...” (bo) „Powstałe zaległości z lat poprzednich, do których nie należało dopuścić – należy nadrobić w ramach pracy społecznej przez wszystkich nauczycieli”. A na końcu pisma ktoś jeszcze dopisał: „aczkolwiek należy to do jego obowiązków”. Ostatecznie, dodatkowego wynagrodzenia nie otrzymałem, bo okazało się, że to, czego nie wykonał poprzednik, winien wykonać jego następca, gdyż „należy to do jego obowiązków”. Z tego też powodu mogę stwierdzić, że zasługą moją było stworzenie zorganizowanej biblioteki szkolnej i czytelnicy, aczkolwiek byłem tylko na etacie polonisty.



Rok 1959. Czytelnia. Prof. R. Gromiec w roli bibliotekarza oraz jego czytelnicy ze szkoły podstawowej.

Ale najbardziej zaangażowałem się w organizację i prowadzenie eksperymentu pedagogicznego, zwanego politechnizacją nauczania w liceum ogólnokształcącym w latach 1960 – 1963, choć eksperyment miał trwać do 1966 r. Był to eksperyment pedagogiczny, polegający na zbliżeniu nauki w szkole gimnazjalistów do zajęć w zakładach pracy Gorzowa Wlkp., czyli zapoznania uczniów ze specyfiką pracy w Zakładach Mechanicznych „Gorzów”, w Zakładach Przemysłu Jedwabniczego „Silwana”, w Instytucie Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa, w Zakładach Bioweterynaryjnych „Biowet”, w Zakładach Chemicznych „Stilon”, w zakładach przemysłu terenowego i w Szpitalu Miejskim.

Idea eksperymentu politechnicznego była bliska prof. Romanowi Polnemu z Uniwersytetu Łódzkiego, a lansowana była przez KOS w Zielonej Górze. Patronat nad eksperymentem – politechnizacją sprawował Instytut Pedagogiki w Warszawie. W czasie 1 – 20 lipca 1962 r. ukończyłem kurs w Wałczu dla nauczycieli szkół.

Politechnizację prowadzono od 1959 r. w pięciu liceach ogólnokształcących w województwie zielonogórskim. W Liceum Ogólnokształcącym nr 19 eksperyment politechniczny rozpoczęto od roku szkolnego 1960/1961. Eksperyment rozpoczęliśmy z jedną klasą ósmą, w której było 23 chłopców i 20 dziewcząt.

W roku szkolnym 1962/1963 eksperyment prowadzony był już w trzech klasach, w których uczniowie podzieleni byli na 20 osobowe grupy. W lutym 1963 r. KOS i Ośrodek Me-



Oznaczanie zawartości potasu i fosforu w glebie. Klasa VIII C jako klasa politechniczna na zajęciach w Instytucie Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa.

todczyzny w Zielonej Górze dokonali podsumowania eksperymentu szkół zielonogórskich, tj. oceniono próby politechniczne i udowodniono, że politechnizacja nie pogorszyła wyników nauczania i nie zmieniła charakteru liceum ogólnokształcącego, choć były głosy ubolewające nad „uzawodowieniem” szkół ogólnokształcących.

W Liceum Ogólnokształcącym nr 19 w Gorzowie Wlkp. założono, iż w jednym dniu tygodnia (nauka odbywała się 6 dni w tygodniu) uczniowie nie będą mieć lekcji w szkole, a uczestniczyć będą w zajęciach praktycznych w zakładach pracy.

Celem politechnizacji było: wiązanie wiedzy teoretycznej z produkcją przemysłową lub naukową, poszerzenie wiedzy szkolnej o wiedzę teoretyczną, nabytą w zakładzie pracy, poznanie procesów technologicznych, zapoznanie z osiągnięciami techniki, zdobycie wiedzy o surowcach, ułatwienie uczniom wyboru studiów, zapoznanie uczniów z organizacją zakładów pracy, zbliżenie młodzieży do pracy ludzi dorosłych.

Uczniowie odbywali zajęcia w zakładach pracy w ciągu 5 godzin lekcyjnych; przez 2 godziny lekcyjne uczestniczyli w zajęciach teoretycznych, a przez kolejne 3 pracowali na wyznaczonym stanowisku roboczym. Nad młodzieżą w zakładzie pracy czuwał opiekun – nauczyciel wyznaczony przez dyrekcję zakładu pracy. Uczeń winien zapoznać się z rolą, jaką spełnia dane stanowisko pracy w procesie produkcji lub eksperymentu naukowego, jakie czynności wykonuje się na tym stanowisku. Powinien zapoznać się z zasadami działania maszyny i narzędzi, poznać surowce i proces technologiczny.

Zapoznawano uczniów najpierw z zasadami bhp na stanowisku pracy, następnie z nazewnictwem czynności, z zasadami działania maszyny lub narzędzia, a także wdrażano uczniów do prac pomocniczych na danym stanowisku pracy oraz do wykonywania detali pod nadzorem robotnika. Wcześniej inżynier – opiekun, a potem robotnik, określali szczegółowo obowiązki uczniów. Uczniowie robili notatki w specjalnych zeszytach i rozmawiali z nauczycielami – opiekunami. Nosili wierzchnie okrycia, jakie nosili w zakładzie pracownicy, np. w „Biowecie” – białe fartuchy, a w ZM „Gorzów” – granatowe fartuchy i czarne berety.

Przed rozpoczęciem eksperymentu dyrekcja i nauczyciele obawiali się, że nie uzyskamy pomocy zakładów pracy, akceptacji rodziców i uczniów. Okazało się, że dyrektorzy zakładów pracy odnieśli się nadzwyczaj przychylnie do koncepcji politechnizacji, zaaprobowali jej program i wyznaczyli opiekunów – inżynierów lub techników.

Szczególne zaangażowanie wykazali: p. Stanisław Skałacki z IUNG – u, p. Witold Głownia z ZM „Gorzów”, p. Władysław Paszkiewicz z ZPJ „Silwana” i p. Władysław Tyczka z „Biowetu”, a także wielu innych – wspaniałych ludzi pracy.

Rodzice uczniów nie wypowiadali się negatywnie o eksperymencie, a uczniowie? Na ogół – pozytywnie, choć byli i tacy, którzy niezbyt przykładali się do obowiązków, bądź co bądź, dodatkowych i trudnych. Eksperyment prowadziło w szkole sześciu nauczycieli: chemik, trzeci fizyków, biolog i polonista – koordynator, łącznik, teoretyk koncepcji politechnizacji w szkole. Jakie trudności napotykalismy podczas wdrażania programu politechnizacji nauczania?

Przede wszystkim – opracowanie planu dla konkretnego zakładu pracy korelacji wiadomości z produkcji z wiadomościami programowymi, następnie – stopniowanie trudności w opanowywaniu wiedzy praktycznej i wdrożenie uczniów w rytm zakładu pracy. Po zapoznaniu się nauczycieli ze stanowiskiem, wyszukiwali oni hasła programowe, które na stanowisku pracy mogły być rozbudowane. Było dużo tematów, które wykraczały poza program nauczania. W zakładzie pracy uczniowie jakby w sposób naturalny, w krótkim czasie, byli „otrząskani” ze sprawami, o których mówił opiekun lub robotnik, z którym pracowali. A nauczyciele? Też zdobywali masę wiedzy o zakładach, o których przedtem wiedzieli tylko, że takowe



Rok 1957. Koło estradowe „Świerszczyk” wraz z jego założycielem i zarazem opiekunem, prof. Ryszardem Gromcem.

w mieście istnieją. Dokładne sprawozdanie z przebiegu eksperymentu złożyłem w 1963 r. i sądzę, że znajduje się ono w dokumentacji archiwalnej szkoły. Okazało się, że połową sukcesu politechnicznego jest dobre zorganizowanie praktyk produkcyjnych i dobór opiekunów eksperymentu w szkole i w zakładzie pracy. Idea – piękna i celowa, bardzo przydatna uczniom, którzy poszerzali swoją wiedzę, umiejętności i zainteresowania, została, niestety, zaniechana w LO nr 19 po moim odejściu do pracy w Szkole Rzemiosł Budowlanych, tj. po 31.8.1963 r.

W roku szkolnym 1956/1957 utworzyłem kółko estradowe, które przyjęło nazwę „Świerszczyk”. Do zespołu estradowego należeli uczniowie z różnych klas (uwiecznieni na zdjęciach), którzy świetnie grali na fortepianie, śpiewali, recytowali, opowiadali, np. dowcipy, albo tworzyli skecze i teksty sceniczne. Wymienię, dla przykładu, Zofię Rozwałkę, która doskonale grała na fortepianie i dobierała muzykę do tekstów lub akompaniowała śpiewakom oraz Krzysztofa Kozłowskiego, który w prowadzeniu konferansjerki był niezastąpiony. Zespół występował na uroczystościach szkolnych i w zakładach pracy, np. 10.3.1962 r. w ZPJ „Silwana” z okazji MDK. Po koncercie przewodniczący Rady Zakładowej złożył nam gratulacje i przekazał na potrzeby szkoły pewną kwotę pieniędzy. Jak długo działało koło estradowe? Już nie pamiętam.

Podobnie było z kółkiem turystycznym, które prowadziłem od 1960 r. do 1963 r. Chętni uczniowie musieli dysponować rowerem, gdyż odbywaliśmy wycieczki do różnych miejscowości w pobliżu Gorzowa Wlkp. (np. do Lubna, Lubniewic, Santoka, Witnicy), aczkolwiek nieraz korzystaliśmy z autobusu lub pociągu, np. jadąc do Skwierzyny lub Popowa. W wakacje organizowane były obozy wędrowne, choć sprzęt turystyczny był prymitywny, np. namioty nie miały podłogi i często podczas deszczu – przeciekały. Najpopularniejsze były tzw. pałatki, które służyły do ochrony przed zamoknięciem, a najważniejsze były „śledzie” i saperki, by „okopać” namiot.

Trzeba było umieć przyrządzać posiłki, rozpalać ognisko i wyczyścić sprzęt kuchenny bez chemicznych środków czystości. Mam nadzieję, że wielu uczestników obozów pamięta



Rok 1962 Zespół redakcyjny gazetki szkolnej „Co w budzie piszczy?” w pełnym składzie.

ognisko, pieśni i akompaniament gitary, gdy rozlegało się „Obozowe tango”. Kto to wtedy tak dobrze akompaniował i śpiewał? Na pewno wrócą wspomnienia.

Wspominając i opisując swoje niektóre przedsięwzięcia w LO nr 19, muszę napisać o działalności zespołu redakcyjnego gazetki szkolnej pt. „Co w budzie piszczy?”.

Pracował on pod moim kierownictwem od 1958 roku. Zespół, oczywiście, zmieniał swój skład osobowy z różnych powodów, np. został wzmocniony przez nauczyciela wychowania fizycznego, p. Jerzego Niewiadomskiego, który doskonale rysował i ilustrował teksty, drukowane w gazecie.

A uczniowie – redaktorzy zamieszczali informacje, wywiady, oceny, nieraz bardzo krytyczne, np. nauczycieli lub dyrekcji szkoły.

Pamiętam, że dyrektor szkoły zawsze pierwszy czytał teksty z gazetki z zainteresowaniem, często śmiał się lub krzywił, gdy coś zobaczył lub przeczytał. A uczniowie? Mieli różne oceny.

Natomiast tworzący gazetkę doskonalili swoje wypowiedzi, kształtowali sposób wyrażania myśli i odczuć, słowem – szlifowali swoją polszczyznę. Niektórzy przeprowadzali wręcz fachowe wywiady, np. z aktorami Teatru im J. Osterwy, np. z p. Bargiełowską lub z innymi ciekawymi ludźmi, co podówczas było równoznaczne z prawdziwym dziennikarstwem.

Aby zrealizować wszystkie zadania dydaktyczne, wychowawcze i organizacyjne w ówczesnym liceum, trzeba było dużo pracować, nie liczyć się z czasem i nie liczyć na wyróżnienie, bo pieniędzy nie było, a obowiązków co niemiara.

Całe szczęście, że tydzień pracy trwał 6 dni.

Ryszard Kazimierz Gromiec
Nauczyciel II LO w latach 1953-1963
Wicedyrektor Szkoły w latach 1955-1963

Jerzy Pietrzyk

OAZA SPOKOJU

Jak Pan się czuje, siedząc ponownie w gabinecie dyrektorskim po ponad dwudziestu latach przerwy?

Z czasem to już powoli obojętnieje. Jestem już w tej chwili 22 lata na emeryturze. Później nie starałem się o dodatkową pracę i traciłem kontakty z nauczycielami. Powoli człowiek się przyzwyczaił do tego, że tutaj pracują już inni. W tej chwili to już takich emocji nie wzbudza jak w pierwszych latach, kiedy przychodziłem i byli jeszcze nauczyciele, z którymi ja pracowałem. Dziś to już jest zupełnie inne pokolenie.

Jak Pan wspomina i ocenia pracę w II LO?

Z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że był to dobry okres mojego życia. Zaczynałem jako nauczyciel, potem przez 3 lata byłem wicedyrektorem, później dyrektorem. Miło wspominać ten czas. Później, korzystając z tej możliwości, że można było przejść na emeryturę po 30 latach pracy, odszedłem..

Zmęczony był Pan tą pracą, potrzebował odpoczynku, czy też była to nie do końca przemyślana decyzja?

Trzeba powiedzieć, że osiągnąłem jednak swój wiek. Po 50-tce inaczej się działa. Człowiek myśli już o tym, żeby mieć troszkę spokoju, a czasy były takie, że działało się inaczej. Odszedłem bezboleśnie w 1988 r. Później nastąpił okres wydarzeń z 1989-90 roku i ich następstw. Niewiadomo, jakby się wszystko potoczyło. Nowe władze, nowi ludzie. Mogli sobie nie życzyć, żeby ktoś taki pracował tyle lat.

No właśnie. Długo piastował Pan to stanowisko. Miał Pan jakąś metodę zarządzania szkołą?

Jak się długo pracuje i nie ma większych zmian, to wytwarza się pewna atmosfera i jeżeli ona była dobra, to się rzeczywiście dobrze pracowało. Ja jedynie mogę tylko chwalić zespół ludzi, z którymi pracowałem aż do odejścia na emeryturę. Przecież tu nie chodzi o poglądy, tylko o zaangażowanie w pracę dla dobra szkoły, bo poglądy można mieć różne. Sądzę, że mogłem funkcjonować tak długo jako dyrektor dzięki tej atmosferze i dobrym wynikom. Co w takiej



Jerzy Pietrzyk, nauczyciel języka rosyjskiego. Dyrektor II LO w latach 1970-1988.

sytuacji władze mogły zrobić? Podpisać umowę na kolejny okres. Nawet, jeżeli rozpisany był konkurs, to było łatwiej go wygrać osobie z kilkuletnim doświadczeniem, niż zupełnie nowej i obcej. Myślałem, że ta pozytywna ocena składa się na całą kadrę pracowniczą.

I tu wyprzedził Pan moje pytanie o relacje między Panem a nauczycielami. Pracownicy szkoły, którzy Pana pamiętają oceniają je pozytywnie. Pamiętają Pana jako spokojnego człowieka, z którym można było porozmawiać o wszystkim, nie tylko o sprawach szkolnych. Jak Pan to wtedy odbierał?

Mogę tylko powiedzieć, że na pewno podlegałem różnym emocjom, tylko zawsze starałem się, żeby nikt nie odczuł bezpośrednio mojej niechęci, czy niezadowolenia. Najpierw usiłowałem tłumaczyć, spokojnie rozmawiać, chciałem wiedzieć, jakie uwarunkowania spowodowały takie, a nie inne postępowanie. Zawsze próbowałem robić to łagodnie i dbałem o to, żeby nikogo nie faworyzować, tylko myśleć o zespole jak o całości. Skoro miło mnie wspominają, to chyba mi się udawało. Czasem trzeba było podejmować trudne decyzje, np. rozstać się z ludźmi, z którymi nie można było pracować, bo stwarzali takie sytuacje, które groziły kompromitacją szkoły. Było trudno, ale nawet to można było zrobić.

Jak Pan to robił?

Próbowałem to robić tak, żeby dla tej osoby nie było to przykrym doświadczeniem, ale takim, które umożliwi jej bezbolesne przejście do innej szkoły, bądź innej instytucji.

Jednym słowem stosował Pan zasadę złotego środka. To była ta metoda w zarządzaniu?

Tak, oczywiście. Poza tym spokojne załatwianie spraw, które trzeba było załatwić szybko. Myślałem, że o to chodziło, bo nie sądzę, żebym specjalnie czymś się wyróżniał.

W takim razie, na co stawiał Pan nacisk, rządząc szkołą? Czy miał Pan priorytety, do których dążył?

Kiedy objąłem stanowisko dyrektora Liceum, to szkoła funkcjonowała już 20 lat. W środowisku miasta miała określoną renomę, cieszyła się dobrą sławą. Zatem po zajęciu stanowiska starałem się żeby w miarę możliwości zachować to, co już zostało osiągnięte. Jakby udało się zrobić coś nowego to dobrze, jednak najważniejsze było to, żeby nie stracić tego, co już zdobyliśmy. Sądzę, że przyczyniłem się do rozwoju szkoły.

Żałuje Pan którejs z swoich decyzji? Gdyby Pan mógł, to teraz postąpiłby inaczej?

Takich spraw, może niezbyt wielkich, było dużo. Chociaż były takie chwile, kiedy zastanawiałem się dlaczego poszedłem do szkoły pedagogicznej? Praca z młodzieżą ma swoje dobre i złe strony. Jak jest dobrze, to jest dobrze, ale jak jest źle, to człowiek się zastanawia, jaki jest w tym jego udział? Przecież to był uczeń, można było inaczej go pokierować. Dopiero po latach można wyrazić opinię na temat swojej pracy, obserwując losy swoich podopiecznych, absolwentów.

Wolał Pan być nauczycielem, uczyć języka rosyjskiego, czy lepiej czuł się Pan na stanowisku dyrektora?

Zawsze mówiłem: Po co ja się zgodziłem zostać dyrektorem? Trzeba było po prostu pracować. Środowisko dyrektorskie zaczęło tracić możliwości oddziaływania na fundusze szkoły

i na inne sprawy. Było coraz trudniej. Rzeczywiście wielu odchodziło z pracy, ja też często się nad tym zastanawiałem.

Brakowało Panu kontaktu z młodzieżą? Czuł Pan potrzebę szerzenia oświaty?

Tak. Inaczej jest jak się ma ten kontakt z młodymi ludźmi. Nigdy nie starałem się budować dystansu, raczej go likwidowałem. Przez cały okres pracy, podczas wakacji prowadziłem obóz pieszy. To był rodzaj mojego bezpośredniego kontaktu z uczniami.

Czy spokój ducha i opanowanie, jakim Pan się charakteryzuje, było wadą czy zaletą w pracy dyrektora?

Uważam, że zaletą. Opanowanie, nie uleganie zbytnim emocjom to podstawa, żeby tworzyć z ludźmi zespół. Trzeba mieć pewne wyczucie. Im dłużej człowiek funkcjonował, tym bardziej rozumiał pewne potrzeby.

Pana rządy przypadły na trudne lata 80-te. Jak sytuacja w Państwie na nie wpływała?

To był jeden z powodów, że zacząłem myśleć o emeryturze. Było coraz trudniej. Trzeba było mieć dobre stosunki z władzami politycznymi, administracyjnymi, szkolnymi. Nie doszedłem do takiej sytuacji, żebym był zmuszony odejść ze stanowiska. Jednak pojawiły się problemy, np. zdjęcie krzyży czy działalność „Solidarności”.



Zjazd absolwentów z okazji 25-lecia szkoły.

I jak Pan stawiał czoła tym przeciwnościom?

Władza życzyła sobie, żeby w szkole nie było krzyży. Młodzież na przekór je powiesiła. Decyzję w tej sprawie miała podjąć rada pedagogiczna. Moim zadaniem było przekonanie rady, by je zdjąć. Udało mi się to zrobić i wdrożyć uchwałę władz.

A jakie były Pana osobiste poglądy na ten temat?

Moje poglądy na ten temat mogą być zupełnie nie związane z poglądami większości, bo jestem ateistą. Niektórzy mogli uważać, że dyrektor bronił własnego stołka.

Istniał zakaz, rada pedagogiczna go zatwierdziła. Zdarzały się jednak przypadki, że młodzież wieszła krzyże, buntowała się. Jaka była wtedy Pana reakcja?

Jeśli wiedziałem, kto to zrobił, rozmawiałem z nim. Uczniowie byli zaangażowani w roznoszenie i rozklejanie ulotek, działali w ruchu „Solidarność”. Jednego z nich aresztowano. Jako szkoła wystąpiliśmy, żeby mógł jednak wrócić i zdawać maturę. Młodzież się zmieniała na skutek warunków, w jakich się wychowywała. Uważam, że nauczka i kara było spotkanie z dyrekcją na dywaniku. Ówczesne wydarzenia wywoływały frustrację, dlatego zrezygnowałem i odszedłem na emeryturę.

Jednym słowem ceniał Pan sobie spokojną atmosferę pracy, nie lubił Pan nieklarownych sytuacji?

Tego nie lubię do dziś, zawsze wolałem rozwiązywać spory polubownie, ale nie zawsze się to udawało.

To chyba nieuniknione, gdy kieruje się taką dużą instytucją, jaką jest szkoła. Dziękujemy Panu bardzo za rozmowę.

*Rozmowa przeprowadzona przez
Joannę Papierniak i Olę Żędzian*